



N^o 43.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 21 października 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Kronika tygodniowa.—August Bielowski (drzeworyt).—Przegląd teatralny.—Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg).—Typy ludowe ze wschodniej Galicyi (drzeworyt).—Don Juan (drzeworyt).—Przegląd polityki zagranicznej.—Korespondencya od redakcyi.—Niec o starożytnych ubiorach kościelnych, z powodu ornatu ze skarba plockiego (z drzeworytem).—Szachy.—Rebus.—Pojedynek szlachejnych, komedya (dalszy ciąg).—Noc i poranek (z 2 drzeworytami).—Szewkie dziecko, powieść (dalszy ciąg).—Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg).—Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość (dalszy ciąg).—Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

Z a g r a n i c z n a.

Smutną odebraliśmy wiadomość ze Lwowa. W dniu 12 b. m. i roku umarł tam nagle August Bielowski, pracownik dzielny i znakomicie zasłużony na polu poezyi i historii.

Nieboszczyk w ostatnich czasach bardzo był podupadł na zdrowiu, które podkopywała nieustanna praca. Jako kierownik zakładu imienia Ossolińskich, Bielowski obarczony był trudem niemałym, przy którym jednakże znajdował jeszcze chwile wolne donieobowiązkowej, a tak umiłowanej przez siebie pracy. Ostatnim owocem, a raczej ostatnio wydanym (bo w tece dziejopisa wiele innych, nieznanym światu, spoczywać jeszcze może), była monografia Szymona Szymonowicza, pomieszczona w zeszlórocznym Roczniku akademii umiejętności w Krakowie, której zmarły był czynnym bardzo członkiem.

Jeszcze w roku 1869, ceniąc wielkie zasługi nieboszczyka, pomieściliśmy w numerach 53 i 54 drugiej seryi naszego pisma obszerny życiorys jego. Do tego to życiorysu odsyłamy czytelników naszych; dzisiaj zaś ograniczamy się do krótkiego wspomnienia o zmarłym dziejopisie, przy zamieszczeniu jego wizerunku.

Bielowski umarł w 70-tym roku życia, obitego w najpiękniejsze owoce. Rodził się w r. 1806 na Pokuciu, kształcił się we Lwowie i tam rozpoczął zawód literacki na poetyckiej niwie. Z prac oryginalnych *Pieśń o Henryku Pobożnym* otoczyła czoło jego wieńcem rozgłosu, a przekłady z Szylera, pieśni serbskich i słynnego *Rękopisu królowej dworskiej* wykazały w nim dzielnego tłumacza, głęboko wnikającego w charakter i piękność oryginałów. Jego przekład *Pieśni o pulku Igora* nie ma sobie równego, a zachwyca siłą dykcji i prostotą, przy zachowaniu barwy i owego piętna, jakie kładły na dziełach swoich dalekie wieki.

Na niwie historii Bielowski był pracownikiem niezrównanie czynnym i wytrwałym. Poetyczne jego usposobienie, dana od natury twórczość, sprawiały, iż w pracach swoich Bielowski tu i owdzie występował z hipotezami, którym krytyka naukowa prawdopodobieństwa przyznać nie może; zasługi jego przecież na tém polu są ogromne. Zmarły gromadził materyały dziejowe i porównywał je z niestrudzoną wytrwałością aż do końca życia. Jego *Monumenta Poloniae historica* stanowią skarby prawdziwe, ku wielkiej pomocy przyszłych



August Bielowski † dnia 12 października.

dziejopisów w jedną całość nagromadzone. Trzeci ich tom, nad którym właśnie Bielowski pracował przed samą śmiercią, wydanie zapewne za staraniem Akademii krakowskiej. Krytycznie opracowane źródła dziejowe, których *Monumenta* są zbiorem, przedstawiają istotnie niezbędny materiał do prac historycznych. Słuszną uwagę zrobiono, że olbrzymiej takiej pracy, jaką Bielowski dał w *Monumentach* swemu społeczeństwu, gdzieindziej dokonywają komisye i kolegia całe, a tu jeden człowiek zrobił wszystko i zrobił dobrze.

Ze śmiercią Bielowskiego przychodzi nam smutnie obejrzyć się wokół, ażali jest kto taki, co ryłec dziejowy pochwyty, gwoli pracy dla przeszłości i przyszłości. Niestety—strata to tём cięższa i boleśniejsza, że w tём chwili przynajmniej zastąpić się nie da. Przez lat pięćdziesiąt szlachetny ten pracownik wywalczył naukową prawdę, zarówno w poezji, jak i w dziełach historycznych, przemawiając z powagą i głębokim uczuciem, które go wyróżniały z pośród tłumu innych. Umięrawiac mógł sobie powiedzieć: idę spokojnie w krainę zagrobową, po przynależną nagrodę spełnionego obowiązku i zasługi. I my tём, ze smutkiem przyjąwszy bolesną wieść o jego zgonie, zasłudze tём w nagrodę ponieśmy cześć i pamięć zmarłemu. Spokój jego ceniom!

W dniu 3 b. m. przedstawiono po raz pierwszy, na otwarcie zimowego sezonu w teatrze krakowskim, drukującą się obecnie w naszym Tygodniku komedią Sewera, p. t. „*Pojedynek szlacheckich*.”

O sztuce sprawozdania tamtejsze odzywają się wogóle bardzo zaszczytnie i w zupełności potwierdzają sąd konkursu warszawskiego, na którym komedia rzeczona otrzymała nagrodę. Przypisują jęj oryginalność pomysłu, wyborne obmyślenie całości, wielkie zalety pod względem mechanizmu i przeprowadzenia scenicznego, obok szlachetności dykcji. Sprawozdawcy powątpiewają nawet, by komedia Sewera, o której mowa, była pierwszą jęj pracą na polu komedyopisarzkim.

Jeden z recenzentów krakowskich powiada:

„A zatem pierwsze wystąpienie autora *Pojedyńku szlacheckich* postawiło go odrazu na stanowisku zaszczytnym wśród naszych komedyopisarzów. Wyszczególnienie na konkursie warszawskim i takie przyjęcie, jakie tu (w Krakowie) jęj sztukę spotkało, wkłada nań obowiązek dalszego zasilania scen naszych. Jeżeli tak wybornie mógł odworować społeczeństwo angielskie, mamy prawo spodziewać się, że nie stanie niżej i na gruncie ojczystym, na którym się wychował i wzrósł i który powinien znać jeszcze lepiej.”

Ze swęj strony dodajemy, że *Pojedynek szlacheckich* przebywa już próby i na scenie warszawskiej i że zapewne niezadługo przedstawionym zostanie i tutaj.

We Lwowie znowu z niemalém powodzeniem odegrano nową komedią p. K. Zalewskiego, p. t. *Złe ziarno*. I ta sztuka przechodzi obecnie próby sceniczne w teatrze warszawskim i przedstawioną będzie jęjsze przed Nowym rokiem.

K r a j o w a .

Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych zwraca teraz na siebie powszechną uwagę obraz Siemiradzkiego, p. n. *Elegia*. Przy grobowcu, w ustroniu pełnym wdzięku i ciszy, artysta przedstawił dwoje ludzi, młodych, zapewne zakochanych... Szaty ich wskazują epokę odległą, może pierwsze wieki chrześcijaństwa, pod panowaniem pogańskiego Rzymu. *Elegia* w powietrzu, elegia w duszy i na twarzach tych dwojga, którzy dumają przy marmurach grobowca. Słońce, pełne blasku i ciepła, wdzięra się przez liście drzew, złocąc ich szaty swojemi promieniami. Wdali krajobraz głęboki, ale spokojny. Ten spokój jest tu czynnikiem głównym, stanowiąc sam przez się nastrój elegiczny, a to co żyje na obrazie uczuciem i zadumą, tak harmonijnie zléwa się ze sobą, iż wszystko tu, odlistków śród ciszy nie-

ruchomych, do kamiennego sarkofagu, stanowi całość jednolitą.

Sławne „cri-cri“ objaw lekkomyślności, a raczej, powiedzmy poprostu, głupoty paryskiej, znalazło i w kochanej Warszawce swoich zwolenników. Nie przypuszczaliśmy jednak, że ich będzie aż tylu!... Warszawa wprawdzie nie celuje może pod tym względem rozumem, ale tём nie wyróżnia się od miast innych zbytecznym jęj brakiem; tymczasem zdaje się temu zaprzeczać rozpowszechnienie owego „cri-cri“, które dowodzi jasno i wyraźnie, że głupich tutaj siać nie potrzeba, bo się sami rodzą... i to obficie.

W całej tём sprawie jest oprócz tego jeszcze okoliczność zastanawiająca... oto na „cri-cri“ wyrzucają najliczniej grosze ci, co ich mają najmniej. Terminatorowie, kupczyki, roznosiciele gazet i t. p. z wielkim zamilowaniem rzucili się do zgrzytającej zabawki. I co dziwniejsza, owo „cri-cri“ napłynęło do Warszawy wcale pokaznemi partjami... na wysoki zaszczyt naszego handlu. Brawo, panowie handlujący tym arcy-pożytecznym towarem! Jeżeli bardzo często udaje wam się nie słyszeć o tём nawet, co za granicą uznano za przedmioty potrzeby niezbędnej i pożytku niepospolitego, to przynajmniej nikt wam zarzucić nie może, że nie wiecie o tём, co powodzenie swoje opiera na lekkomyślności i głupocie. Możecie się pochłubić sprytem i umiejętnością wyzyskiwania słabości ludzkich, a to zaleta wielka u tych, co tylko własną korzyść za jędyne mają bóstwo.

Pod tytułem: „*Germańska sumienność*“ niedawno „*Kuryer Codzienny*“ powtórzył za „*Gazetą Warszawską*“ wiadomość o wyszperanym przez jakiegoś Włocha dowodzie, że Kopernik, ucząc się w Bolonii, mieszkał tam w tak zwaném kolegium niemieckim i że Niemcy z tego powodu uderzyli w surmy, głosząc całemu światu o nowém swém zwycięztwie nad nami; boć rzecz to jasna jak słońce, że skoro Kopernik obrał sobie mieszkanie w kolegium *niemieckim*, więc musiał być koniecznie ich rodakiem.

Aż dotąd wszystko dobrze. Ale godziłoby się „*Kuryerowi Codziennemu*“ wiedzieć i wzmiankować, że wiadomości tём nie podała pierwotnie „*Gazeta Warszawska*“, lecz nasz Tygodnik, w przypisku od redakcyi, na czele znakomitej pracy profesora włoskiego Montanari: „*Kopernik jako ekonomista*“, którą wydrukowaliśmy w streszczeniu polskim p. Artura Wołyńskiego. Pominiecie to tём bardziej jest uderzającym, że *Gazeta Warszawska* wyraźnie Tygodnik nasz zacytowała.

Nowy to dowód, jak mało u nas nawet ludzie na jedném pracującym polu wiedzą, lub może chcą wiedzieć, o sobie.

Szczupła rozmiarami, ale ważna treścią książeczka ukazała się świeżo w obiegu, p. t. „*Wiadomość o kasach zaopatrzenia dla urzędników, ofycjalistów, sług i robotników*, przez K. Waliszewskiego, dra prawa.“ Autor, wykazawszy we wstępie, że gniazdem widm przewrotowych socjalizmu na Zachodzie są głównie klasy ludzi nieposiadających kapitału, to jest drobni urzędnicy, ofycjaliści wiejscy, rzemieślnicy i robotnicy — przychodzi do wniosku, że ani kasy emerytalne lub oszczędności, ani tak zwane pensye gracjalne, ani nawet stowarzyszenia oparte na wzajemnej pomocy niedostatkowi klas tych zaradzić nie zdołają.

Za nierównie skuteczniejszy, acz także nie radykalny, środek w tём mierze p. W. poczytuje istniejące już we Francyi „*caisses de prévoyance*“, które nazywa po polsku „*kasami zaopatrzenia*.“ Szczegóły dotyczące zbawiennych tych zakładów autor czerpie z dzieła głównego ich założyciela, pana A. de Courcy, p. t. „*L'institution des caisses de prévoyance*“, stosując je ile możności do potrzeb i stosunków naszych.

Pierwsza kasa zaopatrzenia powstała we Francyi jęjsze w r. 1833 w Tours, następnie r. 1839 w Soissons; w szerszych jednak rozmiarach zało-

żyło ją dopiero prywatne towarzystwo paryskie „*Compagnie des assurances générales*“ etc., według projektu p. de Courcy. Każdy uczestnik tём kasy posiada osobną książeczkę rachunkową, do której wpisuje się nasamprzód udział jaki, stosunkowo do pobieranej płacy, przypada nań z funduszu zakładowego 150,000 fr., podarowanego kasie przez zarząd towarzystwa. Następnie, aby urzędnikom swym zapewnić zarazem uczestniczenie w zyskach instytucyi, zarząd przeznaczył na rzecz kasy 5% od czystego zysku rocznego, do rozdziału między wszystkich. Kwoty te, podobnie w cząstkach proporcjonalnych do płacy, zaciągają się corocznie do książeczek na korzyść ich posiadaczy, którzy tym sposobem, po upływie pewnej liczby lat, dochodzą do dość znaczenych kapitałów. Rozumię się że rozdział ten coroczny odbywa się tylko na papierze, a dopiero po 25 latach służby, lub dojściu do 75 lat wieku, urzędnik żądać może wypłaty przypadającego nań funduszu. W razie śmierci lub wyjścia ze służby urzędnika przed tym terminem, sumy zapisane w jęj książeczce stają się własnością ogółu, lecz wtedy tylko, jeśli zmarły nie zostawia w prostej linii krewnych, ani wstępnych, ani zstępnych. Na wzór ten wiele już domów i towarzystw w Paryżu, Brukseli i Antwerpii urządziło u siebie podobne zakłady.

Ale z prawdziwą przyjemnością dowiadujemy się od p. W., że pożyteczne te instytucye zaczynają się już krzewić i w bliższych nam stronach. I tak kasa zaopatrzenia, na odmiennych nieco zasadach, od r. 1874 istnieje w dominium Sieniawa w Galicyi; w roku zaś bieżącym założono ją w dobrach hr. Władysława Branickiego, w gub. kijowskiej, a wkrótce dwa wielkie domy krakowskie mają iść za przykładem Sieniawy.

Na broszurę p. Waliszewskiego, napisaną jędrnie, jasno i przystępnie, a przytém wyborną polszczyzną, zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników.

Otrzymałmy z Rygi następującą odezwę, którą drukujemy bez komentarzy.

Szanowny panie redaktorze.

Wiedząc jak żywo obchodzą cię objawy życia naszych rodaków, pozostających w szkołach poza obrębem kraju, donoszę ci o jednym z nich, bardzo źle świadczącym o moralnej wartości niektórych jednostek. Już raz podnosił pan w swoim piśmie głos w podobnej kwestyi, sądzę więc że i teraz nie omieszkaś tego uczynić.

Studenci Politechniki, wchodząc w ślady młodziej swęj braci, uczniów tak zwanęj *Vorschule* (Vorschule), założyli towarzystwo, już nie w celu spopularyzowania francuzkiego języka i literatury, lecz... niemieckich piosenek i bawara.

Towarzystwo to odbywa co tydzień swoje posiedzenia w jednej z knajp rygskich i po odśpięwanu kilkunastu *biertieder*, oraz wypiciu mnogięj ilości butelek bawara, powraca, a raczej zatacza się, do domu. Członkowie towarzystwa tego nadal mu pompatyczne nazwisko „*Unitas*“; widocznie trzymali się oni francuzkiego przysłowia „*l'union fait la force*“, słusznie twierdząc, że *viribus unitis* podolają daleko więkšej ilości piwa, niżeli pojedynczo. Aby nadać towarzystwu swemu cechę jakiejś korporacyi, panowie ci noszą małeńkie cebratowe czapeczki, które po każdej pohulance (szmorze) przedziurawiają rapirami.

Sądzę że zechcesz pan, za pośrednictwem swego pisma, dać poznać tym ichmościom, jak opinia publiczna zapatruje się na ich postępowanie.

Z szacunkiem

X* student bałtyckiej Politechniki.

Przełąd teatralny.

Dworacy Niedoli, sztuka w czterech aktach, prozą napisana, przez Zygmunta Sarneckiego. (Zalecona do grania na konkursie dramatycznym warszawskim).

„Panowie!... schylmy czoła w smutku i pokorze... majestat niedoli się zbliża!”

W tych słowach, wypowiedzianych przez samolubnego bogacza, w chwili gdy spostrzega wchodzącą w łowę i sierotę po urzędniku, który w jego usługach stracił siłę, utracił zdrowie, a na koniec i życie,— w tych słowach mieści się, naszym zdaniem, założenie autora i po części usprawiedliwienie tytułu sztuki, o której mówić zamierzamy.

Dworactwo, wraz z całym szeregiem pochlebstw, zabiegów, usług, troskliwości i starań, gości zazwyczaj tylko w progach możliwych tego świata; tam znajduje ono dla siebie żywioł—materyalizm—bez którego istnieć nie może, jako rodzące się z popędów wyłącznie materyalnych i materyalnymi środkami podsypane. Niedoli zaś jedyną towarzyszką jest samotność, wiodąca za sobą niekiedy litość, najczęściej rozpacz i zwątpienie. Prawdziwy jej obraz skrył Goethe (Wilhelm Meister) w tych wierszach:

„Kto nigdy swego chleba ze łzami nie spożył,
Kto nigdy, w pełnej cierpieni i samotnej nocy
Płacząc, na zimnym łożu głowy swej nie złożył,
O! ten jeszcze nie poznał strasznej niebios mocy!”

Wbrew temu obrazowi jednakże, wbrew, że tak powiemy, zasadzie, stwierdzanej tysiącami faktami życia jednostek i społeczeństw całych, autor w sztuce swój pragnął wykazać, że i niedola może mieć niekiedy swoich dworaków; nie serdecznych pocieszycieli, szczerych przyjaciół, troskliwych opiekunów, ale dworaków, kryjących obojętność i samolubstwo pod larwą kłamanego uczucia. Pobudka takiego dworactwa legnie się w kałużę próżności i egoistycznych zachceń, których myślą przewodnią jest pozyskanie, bez trudu nazwy szlachetnego człowieka i dobroczyńcy, a celem usadowienie się na piedestale w oczach świata. W Holandii mówią, że kto kocha pieniądze, ten *tylko* pieniądze kocha; ale zdarza się, że człowiek samolub, zadowolony z tej jedyną żądzą i jedyny cel swojego życia, a przez to połowę wyrodzonej w sobie próżności, potrzebuje zadowolić i połowę jej drugą: pożąda szacunku ogółu, a jeśli być może, to nawet czci i uwielbienia; wtedy zaś, między wieloma drogami, na których dojść do mety może, wybiera tę, którą mu podsuną okoliczności: zostaje mecenasem sztuki, filantropem, naśladowcą w tym prawdziwych opiekunów sztuki i prawdziwych filantropów, albo też, zapatrując się na aniołów opiekuńczych niedoli, staje się jej... dworakiem.

Zobaczmy, jak autor to założenie przeprowadził w swoim utworze.

Ignacy Zawilski, bogacz, naczelnik domu handlowo-przemysłowego, traci człowieka będącego główną dźwignią rozlicznych przedsięwzięć przemysłowych i finansowych, w których Zawilski majątek swój umieścił. Prokurent firmy, Rzewnicki, umiera w skutek nadludzkiej pracy, zostawiając żonę i córkę. Los ich nie wcale nie obchodzi pryncypała, frasującą się tylko tym, że postradał swoje „prawą rękę”; w zimnym sercu egoisty nie rodzi się nawet cień wyrzutu, iż wyzyskując pracę i siły swego urzędnika, stał się powodem przedwczesnej jego śmierci; umysł jego niezdolny jest pojąć, że opieka nad wdową i sierotą po jego białym murzynie byłaby tylko splatą długu wdzięczności, obowiązkiem sumienia, mogącym choć w części zmazać winę i złagodzić niedolę, której stał się sprawcą. Ale coby świat na to powiedział, gdyby bogaty bankier nie dla nich nie uczynił? Dla tej pobudki Zawilski własnym kosztem sprawia wspaniały pogrzeb swemu prokurentowi, zamawia nekrologi w dziennikach, a wdowę i jej córkę w domu swoim zatrzymuje.

Miejsce prokurenta po Rzewnickim obejmuje polecony przez tegoż Paweł Zagora, przyjaciel zmarłego i kochający jego córkę, Maryję, lecz bez wiedzy dziewczęcia i bez wzajemności, gdyż Maryja kocha Edmunda, syna Zawilskiego. O miłości Zagory wie jednakże pani Rzewnicka, tak wnosimy ze słów jej: „mój synu!”—będących odpowiedzią na oświadczenie Zagory, iż stanie się obrońcą cnoty i niedoli, córki i matki. Edmund zaś, wiedziony instynktem zazdrosnego kochanka,

domyśla się uczuć Zagory i nienawidzi prokurenta, który w niedługim przeciągu czasu potrafił stanąć wobec wszystkich osób dramatu na stanowisku niejako wyroczni. Dla uzupełnienia tego zarysu ekspozycji sztuki dodajemy, że Jadwigę, siostrę Edmunda, kocha się w Zagorze.

Edmund, wychowany w szkole doktora Minowicza, który mówi sam o sobie, że jest „starym rozpustnikiem”—przeszedł był podobno swego nauczyciela. Z „zepsutego wyrostka” stał się człowiekiem, który dopiero w ciągu dramatu zaczyna wierzyć „w pewien rodzaj duszy.” Z początku zatem miłość jego dla Maryji jest tylko kaprysem, żądzą, i stopniowo dopiero wpływ niewinnego dziewczęcia zamienia te popędy w prawdziwą miłość, która Edmunda przeistacza zupełnie, z pod popiołu namiętności i zepsucia wygrzebuje niewytłafą jeszcze do szczętu iskrę wrodzonej szlachetności. Przekonywa się o tym Zagora, który czuwając nad Maryją, widział w Edmundzie uwodziciela i dla tego krzyżował jego plany, a zyskawszy to przeświadczenie, postanawia stłumić własne uczucia i dopomóc zakochanym do urzeczywistnienia ich marzeń. Zawilski wie o stosunku syna do Maryji, może nawet domyśla się uczuć córki dla Zagory; aby więc jednym zamachem przerwać to wszystko, oświadcza się w imieniu syna o rękę bogatej panny Laury, a w imieniu Jadwigi przyjmuje oświadczenie hrabiego Leopolda, będąc przekonany, że dzieci, wychowane pod grozą despotyzmu i zawsze biernie poddające się woli ojca, nie stawiają mu oporu.

Jednakże staje się wprost przeciwnie: Edmund postanawia wykraść Maryję, ożenić się wbrew woli ojca, a wiedząc iż jej ku temu nie zdola nakłonić, ujmuje sobie doktora i otrzymany od niego narkotyk wlewa do herbaty Maryji. Gdy jednak przybywa z doktorem, aby porwać śpiącą, Jadwigę staje w jej obronie i zjawia się Zagora. Projekt wykradzenia upada; ale niecierpliwemu Edmundo przysięga, że nie od związku z Maryją odwieść go nie zdola i że gotów wypowiedzieć ojcemu posłuszeństwo. Te ostatnie wyrazy słyszy wchodzący Zawilski i oburzony postępowaniem dzieci, zagrożony ruiną majątkową, z niedokonczonym wyrazem przekleństwa na ustach, odrzeka syna i córkę i odchodzi, podtrzymywany przez doktora. Rzewnicka, Maryja, Edmund i Jadwiga w mrocznym szukają ukojenia. Po chwili doktor powraca i oznajmia Zagorze, iż Zawilski żyć przestał.—„Przebaczył?” pyta Zagora.—„Powiemy że im pobłogosławił przed zgonem, odpowiada doktor; śmierć bywa dobrodziejstwem niekiedy!”

Otóż w możliwej zwięzłości treść dramatu p. Sarneckiego. Utwór ten nazywamy dramatem, różniąc się w tym od autora, który dziełu swemu dał nieokreśloną nazwę *sztuki*, a czynimy to, ponieważ „Dworacy niedoli” tak przebiegiem akcji, jak i charakterami osób wchodzą ściśle w zakres prac scenicznych tego rodzaju. Autorowie francuzcy niejednokrotnie utwory swoje, poważne i wiele dramatyczne, oznaczają mianem *sztuki*; lecz czynią to wtedy tylko, gdy w akcją dramatyczną wplątany jest żywioł komiczny; wówczas, omijając nazwę: komedyo-dramat, najwłaściwszą w takim razie, poprzestają na określeniu bardziej ogólnikowym, a nie przedstawiającem tej sprzeczności, jaką wynika z zestawienia dwóch wyrazów wprost przeciwnego znaczenia; chociaż zdaje nam się, iż ta ostrożność traci nieco pedanterią, bo jeżeli ów kontrast daje się pogodzić na scenie, to tym samym nie powinienby razić i w tytule.

Tego jednakże podwójnego charakteru utwór p. Sarneckiego nie posiada, z dwóch bowiem jedynych osób, które od ogólnego poważnego nastroju nieco odbiegają, doktor Minowicz jest-to sceptyk i złośliwy obserwator, a redaktor Jasiecki, postać lekko, nieco blade naszkicowana i przelotnie tylko dwa razy ukazująca się na scenie, z tego już samego powodu na przedstawiciela żywiołu komicznego kwalifikować się nie może.

To zaznaczywszy, przechodzimy do samego dramatu.

We wstępie do niniejszego sprawozdania staraliśmy się wykazać, że podjęcie takiego tematu, jak dworactwo niedoli, uważamy za pomysł bardzo

szczęśliwy i niepowszedni. Mniemamy wszelako, iż w zapatrywaniu się na charakter, cechy i właściwości dworactwa, znacznie różnimy się od autora. Dworakiem, w naszym rozumieniu tego wyrazu, jest przede wszystkim pochlebca, a biorąc rzecz jaknajogólniej, człowiek który dla swoich widoków chowa troskliwie na dnie duszy własne myśli i przekonania, kłamie uczucia do których nie jest zdolny, i wszelkie czyny, z właściwą temu rodzajowi ludzi elastycznością, nagina do okoliczności, do potrzeby chwili, a zawsze do własnej korzyści. Jeżeli to określenie dworactwa jest trafne, w takim razie zbiorowy tytuł „Dworacy niedoli” wydaje się nam nieusprawiedliwiony. Któż bowiem jest dworakiem w tym dramacie? Nie Zagora, prawdziwy przyjaciel i opiekun Rzewnickich, nie Edmund, szczerze zakochany w Maryji, nie doktor Minowicz nawet, przejęty głęboką i prawdziwą czcią dla majestatu niedoli. Dworactwo Edmunda, zasadzające się na udawaniu przyjaźni dla Rzewnickich, w celu uwiedzenia Maryji, nie jest wcale uwidocznione, bo już z podniesieniem zasłony pierwszego aktu, widzimy Edmunda, jeśli nie całkiem, to napół odrodzonego. Dworactwo doktora, jeżeli było jakie, kończy się z pierwszą chwilą poznania Rzewnickiej i jej córki. Redaktor Jasiecki, wyzyskujący literacki talent Maryji, byłby mógł rościć prawo do nazwy dworaka, ale, jak powiedzieliśmy, zjawia się on na scenie dwa razy tylko chwilowo i na założenie oraz przebieg akcji żadnego wpływu nie wywiera. Zostaje więc tylko Zawilski. Ten, w pierwszym akcie, jest istotnie dworakiem niedoli; wszystko co w tym akcie mówi i czyni, wskazuje nam, że autor postać tę jasno sobie przedstawił i śmiało do zamierzonego celu zaczął podążać. Jednak w aktach następnych działalność Zawilskiego zmienia się zupełnie. Nie widzimy w nim już żadnych objawów dworactwa, nie mamy dalszego ciągu, dalszego logicznego następstwa skreślonych na początku rysów charakteru bankiera. Zawilski w akcie pierwszym przedstawia się widzowi, jako dworak niedoli; nieugiętość i despotyzm względem dzieci daje się raczej przeczuć, niż dostrzedz; w aktach zaś dalszych dworak znika, a zostaje tylko spekulant i srogi ojciec, pragnący, zapomocą narzucenych dzieciom związków małżeńskich, powiększyć kapitał obrotowy swojej kasy.

Taka sama niejednolitość daje się spostrzegać w innych jeszcze osobach i w samej budowie dramatu. Autor nie przeprowadził zamiarów swoich do końca i na kilku punktach pozostawił widzów w wątpliwości. Nie rozumiemy na przykład, dlaczego Rzewnicka, między aktem pierwszym i drugim, porzuca myśl, że Zagora zostanie jej synem i boleje nad Maryją, gdy Zawilski przynosi wieść o oświadczeniu się Edmunda o rękę panny Laury? Przecież dopiero w tym samym akcie Zagora zaczyna wierzyć w miłość Edmunda ku Maryji, a tenże Zagora i doktor ostrzegali Rzewnicką o nieuczynnych celach zabiegów Edmunda; słowa zaś „miej pani nadzieję,” wyrzeczone przez Zagorę do Maryji, nie mogą tak nagłego zwrotu w usposobieniu troskliwej matki spowodować. Tak samo nie pojmujemy, jak Edmund, odrodzony i uszlachetniony miłością, może uciekać się do narkotyku i wykradzenia, ani dlaczego przezorny, a przytém szanujący Maryję doktor skłania się do rzeczy, która „pachnie kryminałem.” Jest-to błąd pod względem psychicznym, a nawet i logicznym, bo Edmund, znając Maryję tak przynajmniej, jak ją poznali widzowie, mógł mieć razem z nimi uzasadnioną obawę, że wykradziona zbrodniaczem podejściem i wbrew swojej woli, odrzuci z pogardą człowieka, który jej honoru nie uszanował; we względzie zaś scenicznym pomysł Edmunda przedstawia tę wadę, że po przygotowaniu widzów w akcie trzecim do mającego nastąpić przestępstwa, po uspieniu Maryji w akcie czwartym, cała ta sprawa przebrzmiewa jakoś i zacięra się na dalszym planie, nie otrzymawszy jakiegos zakończenia, zaokrąglenia, któreby nam dalo poznać, w jakim celu właściwie autor ten epizod umieścił. Samo wreszcie rozwiązanie, a właściwie przecięcie węzła intrygi pośpiesznym zamachem

Typy ludowe ze wschodniej Galicyi.



Pan młody i panna młoda. Rysował z natury Karol Młodnicki.

D O N Ž U A N .



pióra, stanowi, naszym zdaniem, najsłabszą stronę sztuki. Zawilski, wchodzący w porze nocnej do mieszkania Rzewnickich, z wieścią na ustach, iż mu ruina zagraża, wydaje się w tej chwili istotnie jak przemocą z za kulis na scenę wepchnięty *deus ex machina*. Tegoż jeszcze dnia rano Zawilski stoi „na świeczniku... na piedestale spiżowym;“ mówi o sobie, że wyrósł i spoteźniał. Taka potęga finansowa nie upada w kilku godzinach, ani też cios podobny nie uderza nigdy tak zbiorowo ze wszech stron i tak niespodzianie, jak mieć chciał autor, przynaglony koniecznością rozwiązania intrygi. Efekt tej sceny chybia dlatego właśnie, że w aktach poprzednich nie został należycie obmyślany i przygotowany.

Idźmy dalej: Zawilski umiera, nie przebaczywszy dzieciom; pobożne kłamstwo doktora odwróci od Jadwigi i Edmunda kielich goryczy, którą resztę ich życia zatrąca, umożliwi małżeństwo Maryi i Edmunda; ale nie wpływa wcale na rozjaśnienie stosunku Jadwigi do Zagory i na tym punkcie pozostajemy w najzupełniejszej wątpliwości. Dzieło sceniczne powinno przedstawiać całość zaokrągloną, zamkniętą w sobie, a dramat pana Sarneckiego zakończony jest przez połowę tylko.

Rozszerzyliśmy się nad wadami „Dworaków niedoli,“ bo od pisarza obdarzonego rzeczywistym i nawskróś samodzielnym talentem, od autora „Gorączki złota“ (Febris aurea) mamy prawo wiele spodziewać się i żądać wiele. Talent nakłada obowiązki. Wszelako, pomimo wytkniętych tutaj niektórych usterek, nie wahamy się powiedzieć, że talent pana S. rozwija się i szybko dąży naprzód. W „Dworakach niedoli“ są dwie wielkie zalety: pomysł oryginalny, choć niewykończony, i bogactwo szczegółów. Powiedzielibyśmy nawet, że nadmiar materiału był autorowi przeszkodą w osiągnięciu celu, do którego dążył, wykończając bowiem miniaturowo szczegóły, zamało użył śmiałych i szerokich rzutów penszla, ku uwydatnieniu głównych planów i nawet całości obrazu. Bądź co bądź jednak, owe szczegóły są prawdziwie piękne i przyklaskiwaliśmy im szczerze. Tak na przykład uwydatniona w akcie pierwszym automatyczna bierność charakteru Jadwigi i wyłamanie się z pod dyspotyzmu ojca w akcie trzecim, stanowią kontrast szczęśliwie pomysły i efektywne. Niemniej korzystne robią wrażenie sceny: w akcie drugim między Maryą i Edmudem, między Edmudem i Zagorą, a zwłaszcza w akcie trzecim, między Edmudem i doktorem. W tej scenie bowiem zamyka się znaczna część szlachetnej tendencji sztuki; mamy tu na myśli ów ustęp, tak mistrzowsko wypowiedziany przez Królikowskiego, będący wyjaśnieniem stosunku doktora do Edmunda, jako przedstawiciela tej części młodego pokolenia, którą zgubne prądy, od niedawna nurtujące nasze społeczeństwo, zwróciły z szerokiej drogi, utworzonej wiekowym pochodem wzniosłych idei, na manowce materializmu i negacji, pod sztandarem i hasłem: „życia dla życia.“

Do wymienionych stron dodatnich dodajmy jeszcze wyborne szczegóły w roli Zawilskiego, efektowną scenę kończącą akt drugi, trafne i pełne humoru szyderstwa doktora i wiele innych, a nie pობładzimy, twierdząc że „Dworacy niedoli,“ pomimo wielu usterek, na które że nie zamykamy oczu, dowiedliśmy w tym sprawozdaniu, są jednak dziełem, posiadającym rzeczywistą wartość moralną, sceniczną i literacką, i nie dziwimy się wcale, że pomimo mniej szczęśliwego zakończenia, komisya konkursowa w swém sprawozdaniu pracę tę pochlebnie dla autora wzmianką wyróżniła.

Wykonanie dramatu, powierzone pierwszorzędnym siłom naszej sceny, było wogóle bardzo dobre, niemal wzorowe, a drobnutki niedokładności, jakie zdołaliśmy dostrzedz, kładziemy wyłącznie na karb okoliczności, nieodłącznych zwykle od pierwszego przedstawienia. Panna Popielówna (Marya) do znaniej a uroczej prostoty, z jaką odtwarza postacie dla siebie odpowiedzialnie, dołączyła nader szczęśliwie tę miarę dramatyczności, jaką autor nadał charakterowi je-

dnę z bohaterów swjej sztuki. Rolę drugiej bohaterki, Jadwigi, wykonała panna Deryng. Rola ta, trzymana ogólnie w tonie poważnym, a w akcie trzecim wznosząca się do nastroju prawdziwie dramatycznego, zdaje się przypadać do rodzaju talentu młodej artystki, która też dobrze wywiązała się ze swego zadania. Trudno nam tutaj wdawać się w drobiazgowy wyliczanie; powiemy więc tylko ogólnie, że jak poprzednio, tak i w roli Jadwigi, obok prawdziwego przejęcia się i nawet natchnienia, widzieliśmy w grze panny Deryng niedosć jeszcze techniki, zarówno w deklamacyi, jak i w mimice, a ta techniczna strona sztuki, łatwa zresztą do nabycia dla artystki tak wielkich zdolności, jest jednak niezbędnym dopełnieniem owego *feu sacré*, którym szczerze jest uposażona. Pani Niewiarowska niewielką rolę matki oddała dobrze, nawet może z wygórowanym pojęciem charakteru i usposobienia Rzewnickiej, przez co rola ta przybrała koloryt nieco melodramatyczny.

Wykonanie ról męzkich było jakoby gonitwą, w której wszyscy współzawodnicy niemal równocześnie dobiegli do mety. Uznając prawo starszeństwa i zasług na polu sztuki, wymienimy na czele p. Królikowskiego. Postać doktora Minowicza, jedna z najlepiej nakreślonych przez autora, nie mogła znaleźć godniejszego przedstawiciela. Wszystko tam skończone i mistrzowskie, a scena z rewolwerem, w której artystyce dzielnie wtórował p. Tatariewicz, zelektryzowała publiczność, i rzeczywiście przy takim tylko wykonaniu efekt zamierzony osiągnąć mogła. Pan Tatariewicz (Edmund) również zadowolił nas zupełnie, oddając z przejęciem się i zrozumieniem najdrobniejsze intencje autora; nie tylko bowiem uwydatnił umiejętnie w grze swojej główne cechy charakteru Edmunda, w którym pod naleciałościami złego wychowania i złego życia tleje zaród szlachetny, ale życiem i prawdą przedstawił różnorodne porywy miłości, oburzenia, zazdrości, kontrast wrodzonych uczuć dodatnich i nabytych poglądów wstecznych, słowem wszystkie szczegóły, którymi autor tę rolę hojnie uposażył. Typ uowy u nas, Zawilskiego, szlachcica-finansisty; goniącego za popularnością wszelkimi środkami, a wyzyskującego pracę swych podwładnych i posłuszeństwo dzieci, typ tego zakamieniałego samoluba z wielką prawdą odtworzył pan Rapaeki, któremu tę jedną tylko ośmielamy się zrobić uwagę, że w niektórych chwilach, jak na przykład w monologu z aktu trzeciego, oraz w scenie ostatniej, niedosć wlał w głos swój siły i zaciętości, stanowiących główne tło charakteru Zawilskiego. Pan Leszczyński, w roli Zagory, trudne miał zadanie. Postać ta, zagadkowa dla osób dramatu, tak samo przedstawia się i publiczności. O wpływie jej i znaczeniu w sztuce dowiadujemy się raczej z rozmów postronnych, aniżeli z jej własnych czynów. Temu zapewne przypisać należy, że p. Leszczyński w dwóch pierwszych aktach wydał nam się zbyt chłodnym i rzeczywiście zanadto „purytaninem,“ jak go zowie Zawilski. Zato w akcie trzecim, mając szersze pole do popisu, zdolny ten artysta wysunął się na pierwszy plan i na zdobytym stanowisku utrzymał się do końca sztuki. P. Szymanowskiemu szczerze jesteśmy wdzięczni, że przyjąwszy drobnutką rolę redaktora Jasieckiego, uchronił nas od dysonansu w ogólniej, tak szczęśliwie do końca przeprowadzonej harmonii wykonania, a dodać musimy, że skąpo sobie wydzielony i nieosobliwy materiał, zużytkował jak zdolny i sumienny artysta.

Jakuba Pika z Warszawy, uzyskał medal w Filadelfii, jak mnie zapewniono prywatnie. Złożono go w pięknej czterościennej szafie, ozdobionej witrażną pełną medalów, zdobytych w innych miejscach. Zdaje się że p. Pika warstat posiada wyjątkową wszechstronność, podczas bowiem gdy nawet paryżkie fabryki tego rodzaju przyrządów ograniczają się najczęściej na wyrobienie specjalnych narzędzi optycznych, morskich lub akustycznych i t. d., p. Pik przysłał próbki wszystkich prawie znanych naukowych aparatów. Taniść wielu z nich zwróciła podobno uwagę przysięgłych, jako zaleta niepospolita, w celu spopularyzowania narzędzi naukowych po szkołach.

Zbiór ten szczegółowo opisać trudno. Wymienię tu tylko ważniejsze instrumenta, jakoto: maszynę pneumatyczną z przyborami, tanią, do użytku szkół średnich; model prasy hydraulicznej, o sile 1500 funtów; przyrząd do okazania rozszerzalności ciał stałych pod wpływem temperatury, z nader czułym mechanizmem zegarowym; zgrabny model maszyny parowej, systemu Watta; maszynę elektryczną nowiej konstrukcyi, która podobać się musiała Amerykanom, sądząc z napisu *sold* (sprzedana) na niej zawieszono; uproszczony przyrząd elektro-magnetyczny, zrozumiały nawet dla mnie, niespecjalisty; przyrządy akustyczne i optyczne; narzędzia geodezyjne; przybory farmaceutyczne, chirurgiczne i elektro-galwaniczne i t. d.

Naprzeciw stołu okrytego zbiorem wyrobów żelaznych warszawskich, zauważyłem, widzianą już na wystawie wiedeńskiej, piękną skrzynkę, mieszczącą preparata histologiczne dra Huberta Korwińskiego z Rejmenterówki. Wyroby te mikroskopowe tkanin ciała ludzkiego, obdarzone medalami w Moskwie i Wiedniu, były podobno jedynym tego rodzaju okazem na wystawie filadelfijskiej. Oprócz mnie, który je znałem, wątpię czy półtuzina osób domyśliło się co mieści skrzynka, zamknięta w jednej szafie z rozmaitemi rupieciami. Napisu dokładnie wyjaśniającego jej znaczenie nie dostrzegłem ani zewnątrz, ani wewnątrz szafy.

Inaczej postąpił p. Alfred Lortsch, z Libawy, wystawca optycznych instrumentów, przyrządów naukowych i t. d. Okazy jego były także pod kluczem, lecz napisy czytelne angielskie wyjaśniały ich użytek.

Najrzędniej jednak ze wszystkich wystawców polskich znalazł się p. Stefan Drzewiecki, mieszkający w Odessie, wynalazca kilku dowcipnych przyrządów, gdyż nie tylko umieścił modele swych wynalazków na wystawie, lecz polecił rozdawanie broszur, cel ich wyjaśniających. Wynalazki te służą najwięcej do użytku dróg żelaznych lub maszyn parowych i hydraulicznych, z wyjątkiem cyrkla nowiej konstrukcyi, z którego pomocą kręcić można elipsy, parabole i wszelkie inne linie geometryczne. Pomiedzy kolejowemi wynalazkami wymienię nowy sposób łączenia ze sobą wagonów, bez trudu i niebezpieczeństwa dla służby, i tak dokładny aparat do kontrolowania biegu lokomotywy, że spojrzawszy na taśmę papieru w nim umieszczonej, możemy w każdej chwili osądzić, ile kilometrów maszyna ubiegła w każdej godzinie lub części godziny swjej podróży. Aparat ten powszechną zwrócił na siebie uwagę.

Ciekawym bardzo dla mnie był wynaleziony przez p. Lortscha system korespondencyi tajnej, zapomocą klucza w kształcie cyferblatu. Wynalazku tego opisać nie można w obrębie korespondencyi gazeciarskiej. Jest on jednak nowością i zwrócił uwagę wielu osób zwiedzających wystawę. Zapomocą wskazówki, obracanej na cyferblacie a zatrzymującej się na pewnych literach i słowach, piszący zmienia klucz korespondencyjny dowolnie. Pismo jego jest tylko czytelne dla posiadacza podobnego cyferblatu, wiedzącego w jakim porządku nakręcać swoją wskazówkę. Nawet uczony, ślęczący nad runami asyryjskimi, lub czynny członek Czarnego gabinetu Napoleńskiego nie zdołałby odcyfrować korespondencyi systemem tym prowadzonej.

Wspomniałem o wystawie p. Lortsch, choć nie

Listy z wystawy filadelfijskiej,

Sygurda Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.

(Dalszy ciąg).

Odznaczony na rozmaitych wystawach zbiór narzędzi naukowych (*instruments de précision*) p.

warszawskiej, wskutek jej naukowej wartości. Jeżeli we włóczęgach mych po wystawie spotkam okazy z ościennych państw lub okolic żywiej nas obchodzące, czy to wskutek częstszych z miejscem ich pochodzenia handlowych stosunków, czy wskutek popularności twórcy ich pomiędzy nami, wspomnę o nich w krótkości.

Niedaleko szafy p. Lortscha spotkałem pyszny zbiór bursztynów, braci Bernstein w Ostrołęce. Wyroby ich przewyższają gustem wszelkie podobne wiedeńskie towary. Szafa ta mieści w sobie cygarniczki ślicznej roboty, przedstawiające wyścięgi konne i t. d., cenione na 60 do 120 rs., grabki i noże o rękojeściach bursztynowych, kolczyki i broszki odznaczające się oryginalnością i gustem. Niedziw też że na każdym okazie czytamy *sold*. Gdyby pp. Bernsteinowie dziesięćkroć więcej przysłali, wszystko mogliby sprzedać. Amerykanie zawsze znajdują pieniądze na nowości.

Dziwnie brzmi wiadomość, że fabryka ostrołęcka, mimo iż wyrobiła w roku 1873 za 12,000 rs. towarów, zajmowała wówczas tylko 5 robotników. Co za intrata z pracy kilku rąk! Powodzenie filadelfijskie powinno zachęcić pp. Bernsteinów do konkurencji z Niemcami na amerykańskiej targowicy, gdzie bursztyny piękne są i drogie, i pożądane.

Ciekawe zabytki bursztynowe z czasów przedhistorycznych, jak np. bożek jakiś długości palca, o rysach przypominających głowy spotykane na ruinach meksykańskich z epoki Inkasów, dopełniają zbioru ostrołęckiego.

O wystawie kapeluszy pana Weigta wspominałem już raz w krótkości. Włożono ją do jednej szafy z przesyłką p. Von Draque i innych kapeluszników, tak że napis Teodor Weigt, Rue Royale, à Varsovie, wiele pokrywa i cnot i grzechów. Trudno bez zajrzenia do katalogu zgadnąć, czy pan Weigt czy p. Von Draque wymyślił blaszaną puszkę do wożenia cylindrów, wystawioną w téjże szafie, puszkę w której kapelusz wisi niby w powietrzu i w najdłuższej podróży zgniecionym być nie może.

Żadna warszawska firma, prócz pp. Lilpopa, Rau i Löwensteina, nie wystąpiła na taką skalę w Filadelfii, jak fabryka żyrardowska, która nie zaniechała rozumnej reklamy, by i masą okazów zaimponować, choć ustalona jej reputacja i bez reklamy sprowadza do niej konsumentów. Dwie szafy wystawiła ta fabryka, mniejszą kwadratową i dużą ośmiościenną. Szafy te, jak wszystkie w oddziale rossyjskim, zrobiono z orzecha, brunatnym pokostem upiękzonego, i ozdoboń w rossyjskie i angielskie złote napisy, kładąc na płótnach etykiety polskie także. W małej szafie złożono sztuki płócien, ręczniki i t. d., w wielkiej pokazniejsze lniane wyroby, w postaci szalów i t. p. Zbiór żyrardowski nie ustępuje w niczem innym, najlepszym tego rodzaju wystawom, przynosząc zaszczyt fabrykantom, krajowi i pamięci nieodżałowanego Filipa de Girard, założyciela fabryki. Wypadałoby rozdawać przy szafach kartki, zawiadamiające publiczność zamorską, że przeszło 4,000 par rąk wyrabia rocznie w Żyrardowie towarów za 2,000,000 rs. Nie tak Amerykanów do kupowania nie skłania, jak pewność, że z wielkiego zakładu kupują.

Dobre okazy powroźnicze widziałem w szafie, w której złożono towary p. Wilhelma Micka z Warszawy i p. Witolda Gierczyńskiego z Opoli. Pan Mick pokazuje zbiór tasem konopnych, p. Gierczyński doskonale postronki i sznury. Wystawę wyrobów lnianych z Warszawy uzupełnia przesyłka p. Juliusza Reichla, złożona z pięknie uszytych koszul, krawatów i bielizny męskiej. Przy zbiorze tym umieścił p. Reichel swego wynalazku atrament wieczysty i przybory do znaczenia bielizny. Napisy na pudełkach z atramentem, angielskie, rossyjskie, niemieckie, polskie i t. d. okazały, że wystawca uwzględnił wymagania wszystkich kupujących. Wielu wystawców zaniechało tej ostrożności, kładąc tylko angielskie i rossyjskie napisy na swych towarach.

W zbiorze wszelkiego rodzaju okazów niezgodnych z sobą, lecz w téjże samej nagromadzo-

nych szafie, znalazłem słomkowe kapelusze i sztuczne kwiaty pana Lotha i rękawiczki pani Heleny Kudelskiej. Taż szafa mieściła obok tych warszawskich rzeczy i perukę, nie wiem z kąd pochodzącą, oraz dywaniki z Finlandyi. Zbiór pana Lotha składa się z kapeluszy słomkowych miśterniej roboty i ślicznych sztucznych kwiatów. *Pièce de résistance* téj wystawy tworzy pyszny bukiet, stojący w środku mieszaniny peruk, kapeluszy i dywaników. Gdyby go można przenieść i porównać z paryzkimi, pokazałoby się że w Warszawie są kobiety, posiadające oko nie mniej czule na harmonią kolorów, jak Francuzki. Rękawiczki pani Kudelskiej trudno było za szkłem osądzić, lecz zauważyłem cienkość ich skóry i doskonałość stembnowania.

Darmo szukałem sukiennych wyrobów domów warszawskich, lub fabryk z Łodzi i Opatówka. Z kąd ta niedbałość w przysłaniu okazów, które w Wiedniu zyskały sobie reputacyę?

Mówiąc o brakach, zapytam także, dlaczego torfowiska, coraz bardziej u nas eksploatowane, nie przysłały próbek swego użytecznego materiału? Podobno niedołęztwo tylko było tego przyczyną, pomimo uprzejmych próśb komitetu wystawowego o wszelkiego rodzaju plody i wyroby. Właściciele torfowisk nie mogą się wymawiać nawet wydatkiem, coż bowiem kosztuje cegiełka paliwa?

Dwa okazy papierów zwróciły mą uwagę. Na papierze z fabryki Mirkow, z pod Kalisza, zmieszonym w jednej szafie z papierami Warkunina z Moskwy, zauważyłem ceny dziwnie niskie, w porównaniu z temi, do jakich przywykłem w Ameryce, gdzie trudniąc się przez czas pewien gazeciarsstwem, słyszałem dużo o doskonałości i taniości nowojorskiego papieru. Myślę jednak, sądząc z próbek na wystawie, że i nad Wisłą podobnie dobry zrobionoby papier, gdyby równie dobrze zań płacono. Za każdą ryżę papieru podobnego owemu w szafie mirkowskiej tyle płaciłem dolarów w Ameryce, ile polska fabryka rubli zażądała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd polityki zagranicznej.

20 października.

Urzędowy Reichsanzeiger podaje treść telegramu odebranego z Liwadii, w d. 14 b. m. W telegramie powiedziano: „Nie uważamy sześciomiesięcznego rozejmu za pożyteczny lub niezbędny do zawarcia trwałego pokoju, którego pragniemy. Nie możemy wywierać nacisku na Serbię i Czarnogórze, celem uzyskania ich zezwolenia na tak znaczne przedłużenie trudnego i niepewnego dla nich stanu rzeczy. Sądzymy że teraz już położenie finansowe i handlowe Europy jest nieznośne, a pod wpływem zwłoki takiej jeszcze bardziej pogorszyłyby się mogło. Pragniemy zawieszenia broni na cztery lub sześć tygodni, według pierwotnego projektu Anglii, zastrzegając sobie możność przedłużenia terminu, gdyby bieg układów koniecznie tego wymagał.“ — Potwierdzenie powyższego postanowienia znajdujemy i w innych depeszach i dziennikach, tak iż dziś nie ulega już wątpliwości, że Rossya odrzuciła propozycje tureckie. Nie dziwi nas to wcale, gdyż, jakeśmy to już w zeszłym tygodniu powiedzieli, propozycje tureckie były wybiegiem, w gruncie tylko dla Porty korzystnym, dla Słowian zaś zgubnym. To też, uprzedzając postanowienie Rossyi, Serbia i Czarnogórze od razu odrzuciły warunki sześciomiesięcznego rozejmu. Wiadomość o odrzuceniu propozycji tureckich rzuciła popłoch na giełdy europejskie. Wszystkie ważniejsze papiery, nie wyłączając konsoli angielskich, spadły, jak gdyby wojna jutro już rozpocząć się miała na Wschodzie. Według nas, rzeczy jeszcze tak daleko nie zaszły, a chociaż położenie jest niewątpliwie groźniejsze, nie widzimy wszelako powodu do przypuszczenia możliwości ogólnego lub natychmiastowego starcia. Przedewszystkiem pamiętać należy, że Porta może się zgodzić na krót-

ki rozejm, a nawet prawdopodobnie zgodzić się musi. W takim razie dyplomacya mieć będzie przed sobą cztery lub sześć tygodni czasu, do załatwienia sprawy bez wojny, pomimo bowiem wszelkich dziennikarskich przypuszczeń, wszystkie mocarstwa europejskie pragną pokoju, o ile to tylko da się osiągnąć, bez naruszenia ich honoru i interesów. Z drugiej strony faktem, sprawdzonym dziś już dostatecznie, jest przymierze trzech mocarstw, które dotąd pozostało niezachwianem. Przed kilku dniami Times angielski nawoływał rząd niemiecki do łączenia się z Anglią przeciw Rossyi, lecz prasa rządowa berlińska oświadczyła, że Times zapomina o przymierzu mocarstw i że Anglii wolno przyłączyć się do związku. Stanowcze odezwanie się N. Allg. Ztg. poparte zostało także przez dzienniki wiedeńskie, tak dalece, iż nawet przyjazne Turkom organa wyraźnie zaznaczają, że Austria nie może wystąpić ze związku trzech mocarstw, a dzienniki angielskie donoszą, iż także Anglii i Włochy (a więc i Francya) przemawiają za krótkim rozejmem. Tym sposobem główne, a raczej pierwsze niebezpieczeństwo starcia usunięciem zostało. Przypuszczając że Turcyja zgodzi się obecnie na żądanie Rossyi, zachodzi pytanie, jak zachowa się Porta wobec rezultatu układów dyplomatycznych. Jeżeli mocarstwa zgodzą się na takie reformy, na takie ustępstwa dla krajów słowiańskich, jakie Turcyja wydawać się będą niemożliwe do przyjęcia, to wtedy dopiero spodziewać się można odmowy, a zatem i wojny z Rossyją. Lecz w takim razie niema jeszcze powodu do wniosku, że wojna europejska będzie następstwem odmowy ze strony Porty. Od chwili jak Niemcy postanowiły trzymać się neutralnie, ani Austria, ani nikt inny zaczepnie nie wystąpi, a wojna zlokalizowaną zostanie. Będzie to pojedynek między Rossyją a Turcyją, o rezultacie którego ani na chwilę wątpić nie można. Porta pokonana zostanie, a siła oręża zmusi ją wtedy do spełnienia woli Europy. Zresztą są to wszystko przypuszczenia tylko, od których wszelako, wobec palącej kwestyi Wschodu, powstrzymać się niepodobna. Ostatecznie więc, jak na dziś, wierzyć można w przyjęcie krótkiego rozejmu przez Turcyją, w rozpoczęcie nowych dyplomatycznych układów i w zbrojne zajęcie krajów słowiańskich, jeżeli Porta nie zgodzi się na wyrok mocarstw obradujących.

Działania wojenne w Serbii i Czarnogórze redukują się do małych starć, pomyslnych dla Słowian. Muktar-basza istotnie pobitym został przez Czarnogórców, i to ciężko, skoro sam przyznaje się do straty 2,000 ludzi w poległych i ranionych. Telegram z Dubrownika z d. 18 b. m. donosi, iż oprócz Dzeladyna-baszy (Borzęckiego) ranionego w d. 10 b. m., zmarł także z ran poniesionych w bitwie Abdy-basza. Telegram dodaje bez żadnych objaśnień, że jeniec wojenny Osman-basza wrócił do Cetynii.

OSTATNIE DEPESE. *Belgrad, 18 października.* W d. 16 b. m. oddział pułkownika Andrejewa spotkał Turków na lewym brzegu Morawy, pod Prikladencem. Turcy pobici zostali, straciwszy znaczne zapasy prowiantu. Słowianie zajęli wioski: Kuplenie i Nikolonacz, oraz zabrali 47 jeńców.

Wiedeń, 18 października. Wczoraj feldjeger rossyjski przywiózł nowy list N. Cesarza Aleksandra do cesarza Franciszka. List doręczonym będzie przez generała adjutanta Daszkowa. (Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

KORESPONDENCA OD REDAKCYI.

Panu Ludomirowi Krynicy w Warszawie. Więrsze odesłaliśmy redakcyi Muchy.

Pani S. B. w Mławie. Za pamięć serdecznie dziękujemy, ale materiał rysunkowy zbyt jest niedokładny, abyśmy spżytkować go mogli.

Białorusince. Z reklamacyą swoją zechciej się pani udać do wydawców Geografii Czarkowskiego.

Więrsze p. t. Do pań;—Urywek z mojej przeszłości;—Zakonnica;—Czy pamiętasz?—Czemu mi smutno?—Jesienne życzenie;—Co powróci— w Tygodniku naszym drukowane nie będą.

Nieco o starożytnych ubiorach kościelnych, z powodu ornatu ze skarbcza plockiego.

Znajomość dawnych zabytków nie jest tak ploną i bezużyteczną dla terażniejszości, jak mniemają niektórzy przeciwnicy nauki starożytniczej. Przekonały o tem powstałe w naszych czasach zbiory i dokonane nad nimi badania, które stały się już korzystnymi dla niejednej gałęzi sztuki i przemysłu.

Ujawnienie więc owych zabytków, oprócz bogacenia dziejów powszechnych i szczegółowych, może być jeszcze użyteczne i pod względem czysto utylitarnym.

Znajdowały się one i dotąd znajdują najczęściej po domach Bożych, które, jak wiadomo, były niegdyś schronieniem wszelkich nauk i umiejętności i gdzie składano w ofierze to, co miano najdroższego.

Ztąd kościoły chrześcijańskie stały się zarazem muzeami, przechowującymi pamiątki upłynionych wieków. Tam też, pod wielu względami, bodaj czy nie najważniejszymi dla nich miejsce, gdyż samo otoczenie objaśnia je, gdy przeniesione do ogólnych zbiorów, tracą na szczegółowym znaczeniu i nikną. Idzie tylko o to, aby je ocenić i uszanować umiano, co, niestety, bardzo rzadko dotąd się zdarza.

Wiemy wszyscy że kościoły są pomnikami budo-

wnictwa, że zawierają zabytki rzeźby, malarstwa, złotnictwa i t. p. niekiedy drogocenne, i o tych mamy niejakie wiadomości. Lecz obok nich znajdują się tam jeszcze czasem dobrane i troskliwie przechowywane znaczne zbiory dawnych ubiorów kościelnych, które niemniej na poważną zasługują uwagę, chociaż o nich niewiele dotąd pisano w naszej literaturze. A jednak dostarczają one ważnych wiadomości historycznych, artystycznych i przemysłowych. Z tego względu zwróciły też na siebie baczność uczonych specjalistów. Zjawiły się znamiomite dzieła, między innymi kanonika Bocka *Geschichte der liturgischen Gewänder des Mittelalters*, Bonn 1858, prace Ottego, Alta, profesora Kreusera, Augusti i inne.

W niektórych krajach utworzono z nich osobne, bardzo ciekawe i naucające zbiory, jak w Norymburdze, Wiedniu, Berlinie, Cluny i t. d. Gdzieindziej ogłoszono opisy z fotografiami pojedynczych skarbców, jak najbliższej nas obchodzącego kościoła Panny Maryi w Gdańsku, wydany pod tytułem *Die Schatzkammer der Marienkirche zu Danzig, beschrieben von A. Hinz mit 200 photographischen Abbildungen*. Gdańsk 1870, 2 t.

Nazwę ubiorów kościelnych katolickich noszą właściwie, do służby Bożej przeznaczone szaty. Takimi są: 1) humerał czyli naramiennik, okrywający



Ornat gobelinowy, ze skarbcza katedry plockiej.

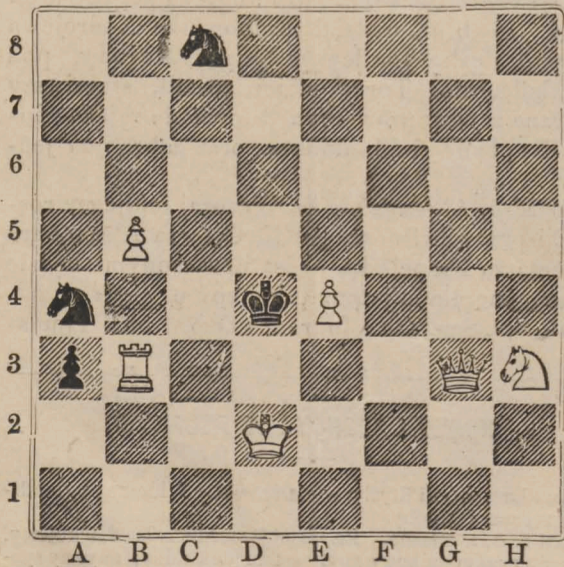
265

SZACHY.

ZADANIE XXXVIII.

Białe zaczynają i dają matę za 3 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 37.

Białe.

Czarne.

- 1) H4—E1 1) D2—D5 biorą ♠.
- 2) E4—D6 ♠ i mat i t. d.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

Emigracya chłopska.

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH,

n a p i s a ł

Władysław Ludwik Anczyc.

Uwieńczony nagrodą ludową na konkursie krakowskim 1876 r.

Utwór ten, dzielnego pióra, cieszący się bezprzykładnym powodzeniem na scenach polskich, dotyka bardzo ważnej sprawy, trapiącej ludność Galicji i w. ks. poznańskiego. Żywił ludowy, odtworzony ze znajomością niepospolitą ludu, odgrywa tu rolę pierwszorzędną, i na jego to tle rozgrywa się smutny dramat, który w sztuce Anczyca przewija się w mnóstwie scen i sytuacji, pełnych barwy i życia. Pierwszy to dramat ludowy w naszej literaturze, a jak to wogóle krytyka uznała, dramat celujący wyborem treści, żywotnością i artystycznym obrobieniem.

CENA:

w Warszawie kop. 40.

z przesyłką do cesarstwa i na prowincję „ 50.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

266



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 42. Gusta kobiety, laska pańska, marcowa pogoda nigdy nie są stałe.

ramiona i szyję kapłana, w dawniejszych czasach także i głowę; 2) *alba*, czyli długa płócienna suknia, sięgająca do stóp; 3) *komża* czyli *komeszka*, której kapłan używa przy udzielaniu Sakramentów, do kazania i t. d. 4) *przepaska*, *pasiek* czyli sznur jedwabny, albo wełniany, do podkaszania alby na biodrach; 5) *manipularz*, naręcznik noszony na lewej ręce; 6) *stula*, którą kapłani noszą na ramieniu i piersiach podczas kazania, przy sprawowaniu św. Sakramentów i t. d.; 7) *ornat* kolorowy, złotem, srebrem lub jedwabiem tkany; w nim biskup lub kapłan ofiarę mszy św. sprawuje; 8) *pluwiał* czyli *kapa*, której używa przy szczególnych uroczystościach, przy niesporach, procesjach, święceniach, pogrzebach i t. p.; 9) *dalmatyki*, również kolorowe szaty z materyi złotej, srebrnej lub jedwabnej, w których przy solennych mszach lub procesjach asystujący księża biskupowi lub kapłanowi służą.

Oprócz wymienionych, inne jeszcze biskup przybiera szaty i oznaki. Do takich należą: *tunicella*, jedwabna dalmatyka pod ornatem; *trzewiki* złotolite, krzyżem św. ozdobne i jedwabne *ponczochy*; *rękawiczki*; *infuła* czyli *mitra*, której kończyzna wierzchnia na dwie części się rozchodzi; *pastorał*, jako znak władzy duchownej nad wiernymi; na koniec *pallium*, czyli wełniana obwódka, na ramionach, krzyżami przeszywana, oznaka godności metropolity lub arcybiskupa.

Wszystkie te ubiory, oprócz wskazanego przeznaczenia, mają głównie na celu przyczynienie się do uwydatnienia i jaknajwiększego uświetnienia służby Bożej. Jako takie, sporządzane bywały ozdobnie, bogato i z najdroższych materyj, a ludzie pobożni, mężczyźni i niewiasty, składali je w ofierze. Monarchinie nawet i możne panie trawiły czasem lata całe nad ich wykonaniem.

Niekiedy materye, z których są zdziałane, mają starożytne pochodzenie, zdobyte przy zdarzeniach historycznych; sprowadzane były z odległych krajów, lub wyrabiane na miejscu, tam gdzie teraz niema śladu podobnych fabryk. Inne są ręcznymi dziełami, igłą lub szydełkiem haftowane z nieporównaną wytwornością i sztuką, dziś zupełnie zatraconą.

Otóż zabytki tego rodzaju uporządkowali nowsi badacze, wprowadzili w pewien ład i ułatwili rozpoznanie ich naukowe. Wiemy teraz że przepych ubiorów liturgicznych sięga X stulecia, to jest czasu od kiedy religia chrześcijańska została religią państwa rzymskiego. Wiemy że wyprawy krzyżowe przeniosły ze Wschodu do Europy znajomość oddawna tam istniejącą wyrobów wełnianych wzorzystych, przerabianych złotem, także jedwabnych złotych, tudzież aksamity. W XII wieku kwitnęły już podobne fabryki w Hiszpanii, w stronach osiadłych przez Maurów, z kąd przeniosły się do Włoch, następnie do Francji, Szwajcaryi, Belgii i t. d. Wyroby rękodzielnicze z czasem, przy wzrastającym odbyciu, zastąpiły szybciej działające warstwy, których same miasta Lowanium i Ypern liczyły 4000 i 3200. Wszędzie naśladowano, rozumie się, najprzód gust i przepych Wschoda, przejmując tameczne wzory, które ograniczały się na rysunkach matematycznych, potem przeszły we wzory brane ze świata zwierzęcego, dalej z roślinnego, zanim zostały obrazowemi, przedstawiającymi sceny religijne, świeckie i t. p.

Szczególnie odrabiano w tym rodzaju materye jedwabne i aksamity. Dzielą je zwykle na trzy główne epoki. Pierwszą zowią *wschodnio-byzancką*, która trwała do XIII wieku. Należą do niej tkaniny ciężkie, grube, ze wzorami matematycznymi, rzadko ozdobione fantazyjnymi zwierzętami. Druga, *arabsko-włoska*, od 1152 do 1347, miała materye miękkie, delikatne, chociaż bardzo trwałe, wzorzyste, pełne gustu, ozdabiane wyobrażeniami ze świata zwierzęcego. Nakoniec trzecia, *gotycko-romañska*, od 1519 do 1556, przybiera ornamenta ze świata roślinnego i przechodzi na przedmioty obrazowe z dziejów Nowego testamentu, oraz świeckie, historyczne lub rodzajowe. Przy wyżej wspomnianych wskazówkach, z uwagą na dzieje miejscowe, można łatwo rozpoznać wiek, pochodzenie i fabrykę tych materyj. Stosunki krajowe

i związki handlowe wiele także objaśniają, podobnie jak znajdujące się na materyach hafty, oraz wszelkie wyroby najprzód ręczne, wyszywane igłą, szydełkiem, lub tkane w krosienkach, następnie wyrabiane na warstwach tkackich, a wkońcu na maszynach, przy pomocy sztuki malarskiej i chemii.

Szczególnie wyroby ręczne mają niekiedy istotną wartość artystyczną. Jakoż wysoka umiejętność ludzka, nadzwyczajna cierpliwość, długoletnia praca, podejmowana z pobożnej żarliwości na cześć i chwałę Bożą, mianowicie zaś natchnienie religijne, przy bujnej wyobraźni — wszystkim to sprawiało, że sporządzane przedmioty rzeczywiście są zdumiewającymi arcydziełami, których dziś naśladować prawie niepodobna.

Sztuka haftarska sięga także głębokiej starożytności. Znana u Frygijczyków, posunięta do wysokości doskonałości w Babilonii, u Rzymian, Gallów i innych, nawet północnych narodów — w kościele chrześcijańskim doszła do przepychu, na który już w IV wieku narzekał s. Hieronim. Zdobila ona oprócz szat do służby Bożej, i inne przedmioty, jak wszelakiego rodzaju zasłony, okrycia na sprzęty, naczynia, na okna, drzwi, ściany, podłogi i t. d. Używaną podobnie była wszędzie w zakresie świeckim do ubioru rycerzy, możnych panów i pań bogatych, oraz mieszczan. Trudniono się nią mianowicie po klasztorach żeńskich i męzkich; była także powszechnym zajęciem domowym świeckich niewiast, szczególnie rycerskiego i wyższego stanu, aż wreszcie została osobnym rzemiosłem cechowym i fabrycznym.

Tu sposób wykonania, gust i przedstawiane przedmioty są cechami, po których rozpoznać się dają ich wiek i pochodzenie.

Jako główne siedliska tej sztuki słynęły miasta włoskie i księżęce siedziby w Normandyi. W pierwszych uformowały się najprzód cechy spółzawodniczące z klasztorami, często nawet z burzliwą zazdrością. Celowały tam hafty złote, wykonywane w mieście Arras, tak zwane *Arrazzi*; we Włoszech także powstały hafty obrazowe, przedstawiające przedmioty religijne. W Arras, Kolonii, Rheims zjawily się hafty wypukłe, podkładane drzewem toczonym, tkaniną lub masą, wysadzane drogiemi kamieniami, perłami, złotem i t. d., naśladowujące rzeźbę. W ten sposób obławowane, czyniły wyroby ciężkimi, niepraktycznymi i utrudniały ich noszenie, przez co zwiczeńy sztukę, która odstąpiwszy od właściwego jej płaskiego haftu, zdążyła do upadku.

Jaśniały wówczas wyroby tkane we Flandryi, z kąd na początku XVI wieku przeniesione do Francji, od pierwotnego ich umieszczenia w posiadłości farbiarza Gobelina, którego rodzinie nadzór nad nimi powierzono, otrzymały nazwisko *gobelinów*, lubo udoskonalenie swe w XVII stuleciu i później winne są wyłącznie malarstwu i chemii.

Wogóle najświetniejsze czasy haftarstwa w Europie przypadają na wiek XIV i XV. W XVI stuleciu epoka odrodzenia, *renaissance*, odwróciła je od przedmiotów religijnych, do wzorów przyrody, aż w końcu utraciwszy swą wziętość, tylko po klasztorach żeńskich znalazło jeszcze schronienie i tam dotąd jest uprawiane, czasami nawet bardzo pomyślnie.

Wyroby tkane i haftarstwo podobnie i w dawniej Polsce kwitnęły po klasztorach i domach świeckich. Po miastach znaczniejszych istniały osobne cechy haftarzy i pasamoników, które zaspokajały wielorakie potrzeby przy ówczesnych budowłach, urządzeniu mieszkań, ozdobnych ubiorach, gdy wszędzie rozpowszechniony był zbytek, towarzyszący zamożności i bogactwu. Zajmujący się temi wyrobami doznawali nawet nieposledniego u nas poważania i wziętości, czego dowodem są utrzymywani od wieków na dworach monarchów osobni haftarze. Takimi byli, za królowej Jadwigi i Władysława Jagiełły: Klemens, Jan, Jaśko, wymienieni w spisie ich dworu w latach 1388 do 1395, oraz Jagiełły i królowej Anny, 1403 do 1417, gdzie przytoczone są opony i proporce, wykonane przez Klemensa 1393 r.

(Przeździecki: *Zycie domowe Jadwigi i Jagiełły*, str. 121).

Przy ogólnej pobożności wszystkich stanów i ducha religijnym, szczególnie świątynie Pańskie ozdabiano niemi najwytworniej i najobficiej. Najdostojniejsze osoby, same nawet królowe, własnymi rękoma wyrabiały rozmaite tego rodzaju przedmioty i składały w ofierze, na cześć i chwałę Bożą. Świadczą o tém dowodnie zabytki przechowywane jeszcze po kościołach i zbiorach prywatnych, nieustępujące zagranicznym, a często nawet je przewyższające. Wspomniemy tu między innymi znakomite ubiory w skarbcach kościelnych w Częstochowie, Płocku, Krakowie, Poznaniu i Lwowie, nie mówiąc już o wzmiankowanych w aktach archiwalnych i dziełach historycznych drogocennych tak zwanych szpalerach, jak słynne szpalery, zdobiące niegdyś komnaty zamku królewskiego, przedstawiające w najżywszych barwach i doskonałym rysunku stworzenie świata, Adama i Ewę, a w ostatku potop. (*Rastawiecki: Szpalery zamku warszaw. zwane Potop. W Bibl. Warsz.*)

Po większej części można je uważać za dzieła wyrobu krajowego. chociaż były także sprowadzane lub umyślnie robione za granicą, co łatwo przychodziło, przy odwiecznych stosunkach handlowych Gdańska, mającego rozległe z całym światem związki.

Tym sposobem mamy objaśnione starożytne materye wschodnie, tkaniny belgijskie, gobeliny francuzkie i t. p. Wszakże i tejeszcze mogą mieć pochodzenie miejscowe, zważając ile to niegdyś przebywało czasowo, lub nazawsze osiadało w kraju mistrzów cudzoziemskich: Belgów, Holendrów, Szkotów, Włochów, Francuzów, Niemców i t. d., którzy dla uprawiania tutaj swojej sztuki, nie potrzebowali wielkich nakładów i funduszy, materyały zaś mogli sprowadzać ze swjej ojczyzny, jak to i dotąd jeszcze się dzieje.

W Warszawie np. wiemy, że za Władysława IV istniała fabryka wyrobów jedwabnych i wełnianych w r. 1636 (*Wejnert, Starożytności*, V, 73).

Hafty tutejsze podziwialy w XVII w. zakonnice francuzkie i jedna z nich, w liście do swjej rodaczki pisanym z Warszawy w r. 1624, tak o nich opowiada: „Co jednak najbardziej uderza w oczy cudzoziemca w tym kraju, a razem go zdumiewa, to owa wspaniałość kościołów, ich ozdoby i bogactwa. Pod tym względem, oprócz Włoch, żaden kraj nie może się równać z Polską. Rzemiosła i sztuki nie są tu wcale zaniedbane; mianowicie zaś ręczne kobięce roboty i hafty tak są piękne, że niepodobna ich nie uwielbiać. Widziałyśmy w kilku klasztorach precudne hafty srebrne, złote i jedwabne, jaknajdoskonalej wykonane, ozdobione klejnotami, z wielkim przepychem, niekiedy nawet ze zbytkiem. Magnatki tutejsze bardzo lubią wystawę w ubiorach, zamawiają więc rozmaite deikatne roboty u zakonnice i dobrze im płacą.“ (*Jastrzębski, Wizytki polskie. Rzym 1849 str. 108*).

Nie byłoby więc bez pożytku, gdyby u nas, tak jak to już zrobiono w Gdańsku, ktoś zebrał podobne zabytki, przechowując się po skarbcach kościelnych. Chwalebny do tego przykład wskazuje ks. Antoni Brykczynski, regens seminarium płockiego, przesyłając do Tygodnika ilustrowanego fotografią jednego z ornatów ze skarbcza katedry płockiej, którego drzeworyt tu się zamieszcza.

Według udzielonych przytém uprzejmie przez niego wiadomości, znajduje się tam obecnie pięć ornatów gobelinowych. Najpiękniejszy pod względem rysunku jest ornat biały, przedstawiający z jednej strony wizerunek Chrystusa Pana na krzyżu, (ob. drzeworyt.), odznaczający się wyrazistością karnacy i pięknym, prawdziwej boleści pełnym wyrazem twarzy, z drugiej zaś narzędzia męki Pańskiej, z następnym napisem u dołu, w samej tkaninie wyrobionym: *Fait à Varsovie A. S. K. Z. E. C. et P. et C. C. et P. S. R. C. en 1745 F. Sidire*. Początkowe głoski dają się tak odczytać: *Andreas Stanislaus Kostka Zaluski, Episcopus Culmensis et Pomeraniensis et Canonicus Cracoviensis et Poloniae Supremus Regni Cancellarius*. Tkanina jest z czystego jedwabiu, maszynowej z pe-

wnością roboty, w sposobie gobelinów, jak o tém sam ks. Brykczyński przekonał się, zwiędzając za granicą fabrykę francuską i co téż miejscowi właściciwi znawcy potwierdzili. Napis zatém dowodzi, że w r. 1745 mieliśmy fabrykę gobelinów w Warszawie i że Andrzej Stanisław Kostka Załuski biskup płocki herbu Junosza, przeniesiony na biskupstwo łuckie w r. 1736, a z tego na chełmińskie, w czasie bytności na téj nowej stolicy, już jako kanclerz wielki koronny, ofiarował dawnéj swojej katedrze płockiej ten ornat, zanim jeszcze został biskupem krakowskim w r. 1747.

Drugi ornat, czerwony, przedstawiający również z jednej strony Pana Jezusa ukrzyżowanego, z drugiej narzędzia męki Jego, mający u dołu herb Junosza, wkoło niego głoski *A. Z. B. K.* bez daty, jest darem Andrzeja Chryzostoma Załuskiego biskupa kijowskiego, a od 1639 płockiego, znanego założyciela biblioteki Załuskich.

Trzeci, zielony, z podobnymże rysunkiem i napisem u dołu *A. S. K. Zalu. Epi. Culm. et Pom. Sup. Reg. Can.* 1746, jest darem téjże ręki co i ornat pierwszy.

Czwarty, czerwony, bez herbu i napisu, również z narzędziami męki Pańskiej.

Piąty, czarny żałobny, także bez herbu i napisu, z podobnym jak na tamtych rysunkiem.

Czymby darem były dwa ostatnie, mileczą miejscowe źródła. Prawdopodobnie będą one kopią dwóch wyżéj wzmiankowanych ornatów, daru Andrzeja Załuskiego, gdyż rysunek jest ich naśladowaniem.

Że ornaty są gobelinowe, nie podlega więc wątpliwości zaś na pierwszym; znajdujący się napis, w samej tkaninie wyrobiony, o pochodzeniu z pracowni warszawskiej F. Sidire tak jest wiarogodny, iż trudno mu zaprzeczyć. Nadto ks. A. Brykczyńskiego zapewniano, jakoby fabryka gobelinów istotnie założoną była w Warszawie na początku XVIII stulecia. Co do mnie jednak, mimo czynionych umyślnych poszukiwań w archiwach tutejszych, nie znalazłem dotąd żadnego jéj śladu.

F. Maks. Sobieszczański.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ch aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

LORD.

A prędko! (Trotter wybiega do ludzi.)

LIDYA.

Prędko, lecz nie tak pośpiesznie, aby nam zabrakło energii i odwagi na spełnienie stanowczego czynu. Znajdziemy jeszcze możność odparcia gwałtem napaści. (Wydobywa pudelko z zapalkami.)

JULIUSZ.

Lidy, co to znaczy?

LIDYA (w uniesieniu).

Czyż mam patrzeć spokojnie, gdy się urągają człowiekowi, którego kocham? milcząc, gdy go krępują powrozami, za to tylko że ja go kocham? (Wychyla się z baszty do szturmujących ludzi.) Odstąpcie, biada wam jeżeli się nie cofniecie i nie chcecie mieć pogrzebu, a pomnika z gruzów téj baszty! (Lord i North z częścią służby podbiegają pod basztę.)

LORD.

Na Boga! bramę wysadzić!

JULIUSZ.

Lidy!

LIDYA.

Za mną! Miałebyś się lękać? (Znika w głębi baszty.)

JULIUSZ.

Nigdy!... Nie o mnie tu idzie. (Pośpieszając za Lidya, również znika.)

LORD (z największą rozpaczą).

Dziecię moje—stój! (Chwyta Northa za rękę.) Ratujcie! ratujcie!—na dole jest skład prochu. Bramę wysadzić! Za wszystkie skarby świata, ratujcie mi dziecię! (Służba wybiega w stronę drzwi baszty.) Zam ją, znam Broughamów krew! Własną ręką podpali prochy, a nie podda się. Oszczędźcie starcowi sieroctwa i ratujcie życie jedynego dziecka—ratujcie! (Trzask gwałtowny rozlega się po scenie.)

LORD (chwając się).

North!

TROTTER (wbiegając).

Drzwi wysadzone, obłożeni zatrzymani. Młoda lady zemdlła. (Lord rzuca się w objęcia Northa.)

NORTH.

James, ja cię kocham, i patrz: oto lzy na mych żrenicach! (Służba w szyszakach i tarczach, z toporami w rękach, wprowadza Juliusza, niosącego na rękach zemdloną Lidya. Juliusz, otoczony zbrojnymi, przechodzi przez scenę, nie widząc lordów, wpatrzony w Lidya.)

JULIUSZ.

Biała gołąbko moja! Miałaś odwagę umrzeć, lecz sił ci zabrakło zabijać! (Przechodzi na prawo, otoczony ludźmi.)

Scena 17.

Ciż SAM, prócz JULIUSZA I LIDYI.

(Wbiega na scenę Peggy i kłęk przed lordem, wyciągając ręce.)

PEGGY.

O mój lordzie, jakże ja jestem nieszczęśliwa! Co ja cierpię! Bo i cóż jestem winna, że kocham twoję dziecinę, słucham jéj i służę jéj? Mówiłam Bullowi, że wybór baszty fatalny; nielepszy był domek ogrodnika?

LORD.

Twoja pani zemdlona, a tyś tu?

PEGGY.

Moje dziecię! o ja nieszczęśliwa! (Wybiega.)

Scena 18.

LORD (do Trottera).

Więźnia pilnować! A Poccoek niechaj nie wie o niczem. Starzec mógłby umrzeć z rozpacz, na wiadomość o ucieczce więźnia. Należy szanować starość i przywiązanie do rodziny. (Bull bokiem z kluczami przebiega scenę. Trotter się kłania i odchodzi.)

Scena 19.

NORTH.

Wigi, co na to wigi?

LORD.

Gryźć będą wargi ze złości i milcząc. North, ty ich upokorzysz!

NORTH.

Jal? James—na honor Anglii! zaczynam być dumnym.

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

Gabinet lorda Harvey. Po obu stronach kotary, w głębi drzwi wchodowe.

Scena 1.

LORD (sam).

LORD (przeogląda papiery na stole).

Stało się... Czyż podobna rozzerwać? czyż można przeszkodzić?... Czy byłoby godném mnie i mojego nazwiska stać upornie przy swoim? (Przechadza się.) A walczyć, nie byłoby śmiešnością, gdy upadek nieunikniony?... Upaść?—nigdy!—raczej, gdy nie można zatrzymać, prześcignąć wszystkich i pierwszy rozwinąć swój sztandar, kierując nieznacznie pochodem ku własnemu celom!... Gdy się uprzedza wypadki, wtedy staje się na ich czele. Iść za wypadkami, to znaczy być ich niewolnikiem... No, no, (uśmiecha się) zawysoką nutę bierzemy... Dziewczyna kocha; zbyt silnie i zbyt głośno zaznaczyła swe uczucia... Można ją złamać, ale nagiąć... nigdy! Łamiąc tę hardą duszę, łatwo i życie złamać. Sierota, ma

prawo do miłości i powinna znaleźć pomoc. (Zamyśla się.) Chyba—jeżeli...

Scena 2.

LORD. NORTH. KIDD.

SŁUŻĄCY 2.

Lord Burghley! (Wchodzi North, za nim Kidd.)

NORTH.

James, Kidd już z powrotem.

LORD.

Wybornie. (Ścisła za rękę Northa.)

KIDD (poważnie).

Mam nadzieję, że się nie spóźnił, moi lordowie.

NORTH.

Podziwiamy.

LORD.

I dziękujemy. (Siada przy stoliku, układając papiery.)

KIDD.

Oto rezultat badania. (Wymmuje książeczkę i czyta). Stanleje, stara podupała szlachta z okolic Yorkshire; kandydat na profesora historii, lat 28, ciemny blondyn, zdrow na ciele i umyśle. Waga niewiadoma.

NORTH (uśmiechając się).

Opis zatém nie jest dokładny.

KIDD.

Podziłam twoje zdanie, mój lordzie, i dla dopełnienia go każę więźnia natychmiast zważyć.

NORTH.

Szczęśliwa myśl!

LORD.

Słuchamy!

KIDD (czyta dalej).

Należy do trzech klubów i jednéj society: do klubu wyścigów w czółnach, gry w piłkę i w krikiet; co zaś do uczonego towarzystwa, którego jest sekretarzem, ma na celu stworzyć nową metodę badania dziejów. Nie znam jéj... Może na podstawie atrakcji ciał niebieskich?

NORTH.

Kidd, czy to porównanie uważasz za bardzo dowcipne?

KIDD.

Nie wiem, mój lordzie, lecz to pewna, że za prawdziwe. Jeżeli dziś filozofia rozwija się przez odkrycia w botanice, dczegóżby historii nie mieli rozjaśnić przez astronomię?

LORD.

Bardzo słusznie; nas inaczej uczono. Ale tymczasem prosimy o dalszy ciąg.

KIDD (czyta).

Dobry kolega i towarzysz; długów żadnych...

NORTH.

Żadnych, to jakoś nie po naszymu.

KIDD.

Sądzę dlatego, że nie ma w sperandzie milionów.

LORD (do Northa).

Poczekaj, poczekaj, naucz się.

NORTH (do Kidda).

Rana?

KIDD.

Otrzymał ją w pojedynku o kobietę.

NORTH I LORD (razem).

O kobietę! (Lord wstaje od stolika.)

KIDD.

Ujmując się za honor siostry przyjaciela. (Kidd chowa książeczkę.)

NORTH.

I nie więcej?

KIDD.

Już wszystko.

NORTH.

I myślisz żeś coś nadzwyczajnego powiedział?

KIDD.

Mój lordzie, spełniłem tylko swoje zadanie.

NORTH.

Te twoje szczegóły są nam wybornie wiadome od miesiąca.

KIDD.

A zatém rezultat moich badań poświadcza ich prawdę. I to coś znaczy.

LORD.

To bardzo dużo znaczy. Przedewszystkiém

chodziło nam o potwierdzenie naszych wiadomości i cieszymy się serdecznie ze zgodności twoich sprawozdań z naszymi.

NORTH.

Byłem pewny że coś ciekawszego przyniesiesz, coś z drobnych szczegółów młodzieńczego życia.

KIDD.

Jeżeli o to idzie, mam je także.

LORD.

Masz je?

NORTH.

I milczysz?

KIDD.

Nie widziałem w nich nic nadzwyczajnego.

NORTH.

Mój Kidd, pozwól nam samym to osądzić.

KIDD.

Kidd, mój lordzie, nie ośmieliłby się czegokolwiek ci zabraniać.

NORTH.

Dziękuję ci, dziękuję!

LORD.

A zatem...

KIDD.

Owa siostra...

LORD.

Czyja?

KIDD.

Przyjaciela.

NORTH.

Mów wyraźnie.

KIDD (*odchrząkuje, recytując poważnie*).

Siostra przyjaciela, o którą więzien walczył, ma brata.

NORTH.

Kidd, Kidd—pysnie opowiadasz! Siostra przyjaciela ma brata.

KIDD.

Ma brata, ale nie przyjaciela — przyjaciel jest tam! (*pokazując w górę*).

NORTH.

Co to znaczy?

KIDD.

Gdy mówię tam i pokazuję w górę, to wtedy myślę o wieczności. I zaiste, przyjaciel obecnie znajduje się na jej łonie. (*Dumne spojrzenie*.) Co zaś do wymienionego brata, jest to młody chłopiec lat dwunastu. Obecnie więzien jest jedynym opiekunem tych dwojga sierot. Złośliwi utrzymują, jakoby siostra zmarłego przyjaciela kochała się w uwięzionym, lecz to nie jest skonstatowane. Co zaś do specjalnych uczuć dzentelmana, to również je specjalnie znamy. Oto wszystko! Nic ciekawego, pospolite dzieje.

NORTH.

Kidd, Kidd, jakiś ty wyborny.

LORD.

Przeciwnie, nie są to dla nas dzieje pospolite. Jeżeli młody człowiek dał powód, lub sam starał się wzbudzić uczucie, jeżeli ludzi lub bałamuci dziewczynę, a w inną się kocha...

NORTH.

Widzisz, Kidd, gdybyś ty był prawdziwie sprytnym, czybyś puścił płazem ten szczegół, nie dotarłszy do gruntu prawdy?

KIDD (*poważnie*).

Nie miałem instrukcji do wyczerpywania mego sprytu, mój lordzie.

NORTH.

Zapomniałeś własnych słów. Tam gdzie Kidd kroczy, wśląd za nim idzie spryt.

KIDD.

Ośmielam się przywrócić pierwotny tekst mój, lordzie. „Tam gdzie Kidd kroczy, wśląd za nim idą rozsądek i przezorność.“ (*Dumne spojrzenie wokoło*.)

NORTH.

Sprawiedliwie—przepraszam cię.

KIDD.

Przytém badanie serc niewieścich nie należy do mego zawodu.

LORD.

Słusznie. My, mój Kidd, do podobnych spraw zanadto jesteśmy poważni, czyż nie prawda?

KIDD.

Specjalizm rozbił się dziś na atomy.

NORTH.

Należy więc szukać specjalisty do serc.

KIDD.

To moje zdanie. (*Dumne spojrzenie*.)

LORD.

Ponieważ więc do specjalności rodziny Kiddów należy znajomość prawa, prosimy o wyjaśnienie tych kwestyj. (*Podaje Kiddowi papiery*.)

KIDD (*biorąc papiery*).

Mój lordzie, znam swoje obowiązki!

NORTH.

Proszę przetrząsnąć archiwum i znaleźć konieczne.

LORD.

Jedną z najważniejszych spraw składam w twoje ręce.

KIDD.

I nie zawiedziesz się, mój lordzie, tam...

NORTH (*przerzywa*).

Tam gdzie Kidd kroczy... et caetera, et caetera. Do zobaczenia, Kidd.

KIDD (*kłania się, odchodzi i wraca*).

Czy mam się zająć przed wyjazdem zważeniem więźnia?

LORD.

Dziękuję ci.

KIDD.

Zatém raport nie będzie wypełniony.

NORTH.

Kidd, jesteś nieoszacowany! (*Kidd odchodzi*.)

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Noc i poranek.

Kopie obrazów alegorycznych K. Berflinga w Düsseldorfie.

Noc i poranek—zima i wiosna—śmierć i zmartwychstanie. Jakże blizkie zachodzi pokrewieństwo między temi pojęciami, z których, we wzajemnym oddziaływaniu, splatają się ogniwa żywota, zarówno jednostek, jak całej ludzkości!... Noc i zima, to chwile spoczynku i pozorniej śmierci; ale z poranku i wiosny wykwita... zmartwychwstanie i życie.

Te lub tym podobne myśli zapewne przewodniczyły utalentowanemu malarzowi düsseldorfskiemu przy tworzeniu obrazów, których udatne kopie tu zamieszczamy, a które, tak pomysłem, jak pięknoscia kształtów i czystością linii rysunkowych, należą niezawodnie do najlepszych malowideł alegorycznych naszego czasu.

Z mrocznego tumanu, siedliska puszczyków i nietoperzy... wstaje Noc—wysoka postać niewieścia, siedząca na czarnym, długogrzywym rumaku. Prawą ręką unosi oponę, zasłaniając się od światła księżycowego; lewą przytula do piersi dziecię uśpione; druga dziecina, w letargicznym zdrętwieniu, spoczywa na jej łonie. Na lewo, z pod opony, wysuwają się mamidla i pokusy senne. Uzdę rumaka trzyma Hesper, krzepka postać młodzieńca, ze spuszczoną pochodnią dnia gaśnącego. Obok, na pierwszym planie, unosi się Poezya, uroczą niewiastę, trzymającą w ręku lutnię, której struny budzi do dźwięku dłoń geniusza skrzydlatego. Wgórze, w przestrzeniach eteru, małe genjusze zapalają gwiazdy.

Na drugim malowidle Poranek, w całym swym blasku, roznieca wszędzie światło i życie. Promienna postać Jutrzenki wynurza się ze słońca, dzierżąc wysoko w prawej ręce gorejącą pochodnię dnia. Pod okalającą jej głowę zasłoną genjusze sypią kwiaty budzącej się ziemi. Towarzyski Jutrzenki, córki Jowisza i Temidy, nadobne Hory, splatają się ze swą przewodniczką w grupę pełną wdzięku. Jedna z nich podniesioną dłonią zdaje się witać radośnie promienie słoneczne, zwiastuny nowego życia; druga, podając rękę swój siostrzycy, z pełnego dzbanu na niwy ziemskie wylęwa błogosławieństwo dżdżu; trzecia, siedząca na chmurze, odpycha ciemne tumany nocy.

Obrazy mistrza düsseldorfskiego malowane są w wielkich rozmiarach; sądzimy jednak, że i miniatury kształty naszych drzeworytów dostateczne o piękności oryginałów dają wyobrażenie.

L. J.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(*Dalszy ciąg*.)

On i ona... byli to mąż i żona.

Pan Krzysztof musiał, pychę z serca zrzucając, upokorzyć się przed panią Ewelina. Chodziło mu o dzieci. Upokorzenie odniosło swój skutek. Pani powróciła do Orchowic. Dlatego jednak, że tu chodziło o dzieci, których dobre wychowanie panu Krzysztofowi na sercu leżało, harmonia małżeńska utrzymać się długo nie mogła. Zresztą z harmonią tą tak się dzieje, że raz zerwana i naprawiana, wciąż już się psuje, powodem czego staje się wzajemna podejrzliwość, która zgodę przywróconą zmienia w pewien rodzaj przymierza, zawartego pomiędzy dwoma mocarstwami, znajdującymi się w stanie antagonizmu. Przymierza podobne zawiązują się, możliwymi są, lecz trwałości nie przedstawiają żadnej. Są to raczej podstępny, fortele, zapomocą których antagonistę antagonistę dozoruje i śledzi. Pani podejrzewała każdy krok, każde pana Krzysztofa słowo, a w następstwie podejrzliwości tej stała się kapryśną, chimeryczną, nieznośną do tego stopnia, że pan Krzysztof powiedział sobie razu pewnego:

— To zgorzenie! Potrzeba ażeby się to raz już skończyło!

Powtórzył to Ewelinie, która rzekła mu na to:

— Jeden tylko widzę sposób wyjścia.

— Jaki?

— Rozstańmy się.

— Mówisz to seryo?

— Jaknajmocniej seryo, odrzekła z naciskiem

Pan Krzysztof zmilczał na razie. W dni parę później kwestyą tę znów poruszył i tę samą odpowiedź otrzymał. Znow zmilczał.

Pani Ewelina nie mówiła seryo. Był to z jej strony wybieg, którego użyła w celu zastraszenia przeciwnika i, po milezeniu męża sądząc, pewną była że celu dopięła. Zawiodła się jednak. Pan Krzysztof poruszył kwestyą po raz trzeci i otrzymał po raz trzeci odpowiedź „rozstańmy się“, odparł:

— Dobrze. Urządźmy to tylko przyzwicie, oszczędzając sobie przykróści i gadaniny zbytecznej. Chesz odjechać—dokąd?

— Do rodziców.

Oczy pani Eweliny gniewem się iskrzyły.

— Separacya zupełna?

— Zupełna.

— Wolisz może rozwód? Upprzedzam cię jednak, że sprawa rozwodowa jest zawsze skandaliczną i wdawać się w nią niewarto, chyba że jedno z rozstających się małżonków, albo też oboje, mają zamiar wejść w powtórne związki małżeńskie. Co się mnie tyczy, ja zamiaru tego nie mam.

— Ani ja...

— Rozstaniemy się przeto na drodze umowy poufnej.

— Której warunek pierwszy jest ten—podchwyciła pani—że dzieci zabieram ze sobą.

— Chcesz więc procesu...

— Chce!—krzyknęła tonem żywego rozdrażnienia.

— Dobrze... poradź się jakiego sumiennego prawnika.

Na tém zakończył się pierwszy wstępny bój, który był o tyle stanowczy, że rozstrzygnął sprawę w ten sposób, iż stał się podstawą rokowań następnych. Interwencya rodziców pani Eweliny i sąsiadów pana to sprawiła, że do procesu nie przyszło. Nastąpiła zgoda. Małżeństwo się rozstało: pani zamieszkała przy rodzicach z córką, pan pozostał w Orchowicach z synem. Helcia wychowywała się pod okiem matki, Franio pod okiem ojca. Rodzeństwo widywało się często, zjeżdżając się bądź u hrabstwa, bądź też na wsi u pana Krzysztofa. Taki *modus vivendi* był złym bezwzględnie, względnie atoli miał znaczenie prezerwatywy, odwracającej zgorzenie, na jakie się zanosilo, gdy-

by małżeństwo zmuszonem było pod jednym pozostać dachem. Zgorszenie się usunęło, złe pozostało. Nie było jednak wyjścia innego. Upór trafił na upór; jedna strona drugiej ustąpić nie chciała; matka poświęciła syna, ojciec poświęcił córkę; wielka zaś wygrana zależała na tém, że się

ale urządzonego na podstawach racjonalnych, zastosowanych ściśle do sprawiedliwości. W domu, za domem, w majątku całym nie było próżniaka ani jednego. Ludzie płci obojga i wieku wszelkiego zatrudnieni byli ustawicznie. Dzieci uczyły się, starsi pracowali. Było to naciąganiem

dużej cechy szczególniej, któraby mu nadawała charakter jakowegoś zakładu, mającego na celu eksperymentu społeczne. Był to dwór zwyczajny szlachecki, a osobliwość onego polegała na tém, iż nie wydzielał się, nie wyodrębniał, ale przodował. Z niego wychodził impuls na wsze strony



N O C. Kopia obrazu K. Bertlinga.

rzecz cała obeszła bez skandalów publicznych.

Nasz Kazimierz nie mógł, zaprawdę, trafić lepiej, jak do domu pana Krzysztofa Orchowskiego. Znalazł szkołę—szkołę życia naciągniętego trochę,

z tego powodu, że tak nie działo się gdzieindziej; na gruncie atoli szczegóły wszystkie życia tego składały się prosto, naturalnie i logicznie, rozwijając się stosownie do punktu środkowego, którym był dwór. Dwór stanowił ognisko główne ruchu, nie nosząc na sobie żadnego piętna, za-

i wszystko tętniało życiem ochoczym, wśród zadowolenia ogólnego, którego powód tkwił w tajemnicy pewnej.

Ciekawą była tajemnica owa.

Na czem ona polegała?

Na czynnej miłości bliźniego, na zastosowaniu

do praktyki prawa: „Nie czyn drugiemu, czego byś nie chciał, ażeby tobie czyniono.“

Orchowice obejmowały rolnictwo, duże fabryki (jedną płótna, drugą piwa) i kopalnię kamienia budulcowego. Eksploatacja cała odbywała się na rachunek właściciela, przy pomocy specjalistów,

skrupulatnie i wypłacany regularnie. Przy końcu roku odbywał się obrachunek ogólny zysków. Z tych potrącał się procent od gotówki, od narzędzi, od nakładów wszelkiego rodzaju, i pozostawał zysk czysty, który dzielił się proporcjonalnie, w stosunku do wkładek. Nadwyżka przeto nie

sztof, wyzyskiwano pana Krzysztofa. Do tego potrzebnym było zrozumienie rzeczy. Człek ciemny odpycha nieraz korzyść własną najoczywistszą. To też Orchowice posiadały utrzymywane kosztem wspólnym szkółki dla dzieci, szkoły dla dorosłych i wykłady niedzielne, posiadały bibliote-



P O R A N E K. Kopia obrazu K. Bertlinga.

268

urzędników biurowych, rzemieślników i robotników, z których każdy był w takowej zainteresowany, w stosunku kapitału włożonego bądź gotówką, bądź też pracą. Gotówka i praca szły za jedno. Stopa pracy mierzyla się wspólnością zarobku, który się uważał jako procent, obliczany

obracała się na wyłączną właściciela korzyść, za czem szło, że pan Krzysztof nie wyzyskiwał pomocników i robotników, czyli wyzyskiwanie było zobopólne, prowadzące do tego, że wszyscy razem i każdy z osobna starali się o to, ażeby zysk czysty był jaknajwiększy. Wyzyskiwał pan Krzy-

kę i czytelnię, posiadały kasę oszczędności i kasę zaliczkową, posiadały jeszcze jedną osobliwość: karcznię, w której ludzie się pijaństwu nie oddawali, pomimo że sprzedawano w niej wódkę i nie zaprzysięgano wstrzemięźliwości. Wstrzemięźliwość wyradzała się sama przez się, z dobrego zro-

zumienia rzeczy. Ludzie oświeceni, pojmujący należycie korzyść własną, nie ekscytowani niesprawiedliwością, nie roznamietniani rozpaczliwą myślą o niepewnym jutrze, nie upijają się. Pijaństwo, jak wogóle występki wszelakie, nie powstaje bez przyczyny. Usunięcie przyczyny usuwa następstwo i czyni zbytecznymi takie środki zaradcze, jak towarzystwa wstrzemięzliwości, niewytrzymujące próby czasu i narażające tylko stowarzyszonych na krzywoprzysięstwo. W Orchowicach przysięganie we zwyczaju nie było, pijaństwa atoli nie znano, powimo że w dniu świątecznym do karczmy schodziła się gromada, muzyka brzmiała i ludziska weselili się na potęgę. Starzy gwarzyli przy czarce, a młodzi bili hołubce; swoboda panowała zupełna i nie nadużywano takowej, z powodu zrozumienia potrzeby wstrzemięzliwości. Zapomocą tego zrozumienia pan Krzysztof wszczepił moralność swobodną i naturalną, nie ciężką nikomu, a przynoszącą korzyści ogromne wszystkim razem i każdemu z osobna. Usunięcie z jednej strony pokus, z drugiej musu, stosowne ubezpieczenie bytu i rozjaśnienie pojęć, uczyniły pracę ponętną i cnotę łatwą — łatwą tak dalece, że nikt ani się domyślał, iż praktykował takową. Przyczyniało się do tego potężnie i to, że przykład szedł z góry. Czynna miłość bliźniego była w samej istocie czynna; wydawała plon bogaty, a polegała całkowicie na tym, że pan Krzysztof na zyski własne zapatrywał się ze stanowiska przedmiotowego i dlatego, nie krzywdząc bliźnich, nie krywdził i siebie. Współpraca jego opłacała się mu sownie. Pomocnicy i robotnicy, pracując dla siebie, pracowali razem i dla niego, przez co majątek z dniem każdym na wartości zyskiwał. Dodawać nie potrzeba, że w Orchowicach panował porządek zégarkowy.

Nasz Kaźmirz nie mógł się dosyć napatrzeć i nadziwować wszystkiemu, co mu w oczy wpadało. Nazajutrz po przybyciu pisał do Józefa, donosząc mu, że się dostał do Orchowic. W kilka dni później jednak, pisząc powtórnie, nie mógł się powstrzymać od uniesień stylu, które mu się samocheć z pod pióra wyrwały.

„O mój Józefie! — były słowa listu jego. — Wydaje mi się, jakbym śnił na jawie. Nie przypuszczając, żeby człowiek taki jak p. Orchowski istniał na świecie. Jestem w zachwycie, pomimo że jeszcze z tego co tu znajduję sprawy sobie dokładniej zdać nie umiem. Wpadłem w jakiś świat idealny, w świat wielkiej powagi i dziwnego spokoju, połączonych z humorem jaknajlepszym. Każdy pełni powinność swoją i każdy jest zadowolony, co mnie właśnie dziwi ogromnie, dotychczas bowiem spotykać mi się nie zdarzało ludzi zadowolonych. Chyba to czary jakieś w tych Orchowicach działają. Dziwne, dziwne rzeczy!”

Następny list, pisany przy końcu wakacji, zawierał ustęp taki:

„Miałeś ty rację, mówiąc że rzadkimi są tacy jak Orchowski panowie. Rzadkimi?... Rozmyślając nad tem co tu widzę, zdaje mi się że Orchowice stanowią chyba wyjątek. Widziałem kilku panów z sąsiedztwa, którzy mają przed oczami przykład taki i mogliby z łatwością całą naśladować takowy. Nie naśladowują go przecie. Dziwi mnie to, boć to tak łatwo. Prawda, trzeba mieć rozum — w tem sek. Z sąsiedztwa bliżej nieco poznałem pana Zdziarnowskiego, który odwiedzał nas parę razy z synem i do którego jeździłem z uczniem moim, Franiem Orchowskim. Pan Zdziarnowski mieszka w Kochanówce, w pałacu. Syn, o lat parę od Frania starszy, nie dostał promocji z klasy czwartej do piątej, i na tem edukacją skończył. Chłopak kontent ogromnie. Proszę ciebie, co to za obywatel będzie z niego?...“

Postrzeżenia, jakie bohater nasz w ciągu wakacji uczynił, nie były wyczerpujące. Sprzeciwiało się temu wiele rzeczy, a szczególnie nieoswojenie z przedmiotem, krótkie pobytu i pilne zajęcie się zadaniem swoim, którym było nauczanie Frania. Kaźmirz temu ostatniemu oddał się duszą całą, tém bardziej że wydawało się mu, iż pan Orchowski zamała na odbywanie lekcji czasu wyznaczył. Starał się przeto gorliwością zupełną czasu wynagrodzić, przygotowywał się sam

i przelęwać usiłował w ucznia swego świadomość własną w sposób dla tego ostatniego jaknajłatwiejszy. W tém jednak pan Orchowski na przeszkodzie mu stanął. Będąc raz obecnym lekcji i wysłuchawszy jak Kaźmirz póty powtarzał i tłumaczył Franusiowi, aż ten wkońcu pojął i zapamiętał, odezwał się:

— Pozwolisz, panie Kaźmirzu, że ci uwagę jedną zrobię. W ten sposób naucza się papugi, nie zaś ludzi. Ludziom pokazuje się drogę, po której iść powinni sami, rozwijając w sobie samoistność najprzód myślenia, następnie charakteru. Można nauczyć czytać, pisać i rachować psa, ale... do czego to? Człowiek w ten sposób nauczony pozostanie nazawsze *ex capite stultus*... Nie usiłuj pan Franiowi tłumaczyć, niech on raczej tłumaczy panu, pan zaś utrzymuj go tylko na drodze systematycznej, bacząc aby z takowej nie schodził. Egzaminuj go; każda lekcya niech służy za dowód znajomości przedmiotu do którego się odnosi, a który przyswajając sobie powinien pracą własną, własnym staraniem... Franio już nie dziecko...

Trzeba się było do tego zastosować, co wymagało pewnego nałamywania się. Kaźmirz, dając lekcje prywatne, nabył wprawdy w wykładzie, ale wykladał zapomocą przelęwania, wkładania w głowy, jak to mówią, lopatą. Tego po nim wymagano; on też, ażeby darmo pieniędzy nie brać, do wymóg zastosowywał się. W rękach jego osły przerabiała się na uczniów dobrych, a nie troszczył się o to, czy w dalszym życiu pozostaną lub też nie pozostaną osłami. Kuł i wykuwał, nie zastanawiając się nad tem, dlaczego uczniowie jego nie postępowali jak on, dlaczego nie dochodzili sami, dlaczego mianowicie obyć się nie mogli bez pomocy obcej. Pan Krzysztof naprowadził na osobliwość tę uwagę jego i dał mu do poznania, że rola nauczyciela zależy głównie na tem, ażeby w młodocianych umysłach budzić i utrzymywać ochotę, zaostreać ciekawość i podsycać je na drodze wytrwania do końca. Otworzyło to przed nim nowy niejako świat, świat nieznan, w którym drogę sobie torować musiał. Szcześnie uczęcał nadawał się do eksperymentu. Franio nie posiadał umysłu bystrego, ale pozostawał pod wpływem przykładów, które nie mogły nie oddziaływać na niego. Ułatwiała to zadanie ogromnie. Czuć było wprawdzie że na małego Orchowskiego działają wpływy jakieś inne, spychające go na drogę wręcz przeciwną tej po jakiej go ojciec chciał prowadzić. Orchowice atoli neutralizowały wpływy owe, o pochodzeniu i istocie których Kaźmirz nie wiedział wcale, przypisując zaniedbywanie się i roztargnienie Frania przyczynom zwyczajnym, działającym w chłopcu trzy-nastoletnim. Zmienił metodę, miał z tém nieco trudności, lecz koniec końcem trudności przelamał i prowadził edukacją wedle wskazówek, jakich mu pan Krzysztof udzielił.

Czas od nauki zbywający obracany był w części mniejszej na studyowanie fabrycznej i rolnej eksploatacji, w większej zaś na zabawy takie, jak jazda konna, polowanie z rozjazdem, polowanie ze strzelbą, pływanie, przechadzki, gra w piłkę, wyścigi piesze, ćwiczenia gimnastyczne i t. p. Chłopcy wiejscy i synowie oficyalistów, rówienicy Frania, brali w tych zabawach udział. Zbięrała się codziennie prawie wesoła dziatwy gromada i poruszała echa okoliczne wrzawą radosną. W gromadzie tej panicz ginał; piérwszeństwo dostawało się najrzęczniejszemu lub najsilniejszemu.

Wizyty w sąsiedztwie odbywały się rzadko, z powodu braku czasu, zajętego w dniu każdym od rana do wieczora. Odbywały się wszelako.

— „Oddaj Bogu co Boskie, a cesarzowi co cesarskie“ — powiadał pan Krzysztof.

Oznaczało to, że uznawał potrzebę szanowania stosunków towarzyskich, posiadających prawa swoje, których gwałcenie racji dobrej nie miało. Pan Krzysztof nie unikał ludzi sam i nie widział snadź powodu, dla któregoby syn jego unikać ich miał. Pod względem tym przestrzegał zasady, ukazującej mu samoistność charakteru, jako cel wychowania. Gdyby syna odosabniał, to formo-

wałby charakter jego wedle modły orchowieckiej ujmowałby go z góry w foremki i ubierał. Dlatego, gdy pan Zdziarnowski przyjechał z Tadzkiem przez pół wyemancypowanym, w kilka dni później pan Krzysztof wybrał się do Kochanówki, z Franiem i Kaźmirzem.

W Kochanówce wszystko działo się inaczej, jak w Orchowicach.

Najprzód pałac. Pałac pokrywała blacha czerwoną, a zdobiły kolumny, gzymsy, okna weneckie, pawilony, sztukaterie i fronton monumentalny. W korpusie głównym liczyło się pokoiów trzydzieści sześć, w pawilonach dwadzieścia dwa. Podwórce otaczały sztachety z lanego żelaza. Brama była również żelazna, *à jour*, z cyfrą A. K. Z. na środku i z herbem z góry. A. K. Z. znaczyło: August, Konstancya Zdziarnowscy. Nad herbem unosila się korona o dziewięciu palkach. Czy Zdziarnowscy byli hrabiami — mniejsza o to; każdy szlachcic polski mieć może, w sposób nieco naciągany, do tytułu tego prawo i jeżeli go niekażdy używa, jest to dowodem skromności, panującej wśród tej klasy społecznej. A zarzucają nam próżność! Chybaż to kalumnia. Pan Zdziarnowski herb na bramie wystawił, koronę w dziewięć palk zaopatrzył, tytułu atoli hrabiego nie używał — szedł więc przez pół tylko śladami tych, którzy na naród zarzut próżności ściągają. Czynił to zapewne bardziej dla pałacu, aniżeli dla samego siebie. Bo i jakżeby gmach taki wspaniały obyć się mógł bez znaku poszanowanie wzbudzającego. Bez znaku tego ktoś wzięby go mógł za szpital, za kościół, za szkołę broń Boże! Herb nieporozumienie usuwał. Było to zupełnie w porządku. Szlachcic polski, równy, jak świadczy podpis Zamajskiego hetmana, książętom panującym Rzeszy niemieckiej, robi zaszczyt hrabiom świata całego, jeżeli tytuł lub oznaki hrabskie przyjmować raczy. Pan Zdziarnowski przyjął tylko oznaki. Co za skromność!

Pałac liczył pokoiów trzydzieści sześć, pawilony dwadzieścia dwa, razem pięćdziesiąt i osiem. W gmachu tym mieszkało ludzi dwoje. Znajdowało się tam wprawdzie więcej, ci atoli nie mieszkali. Była to służba — zostająca na stojce, na przysiadku, ale nie na mieszkaniu. Wszystkie pokoje sły na użytek państwa, dwojga osób, które się w nich rozpościęrały. Było więc im jak owemu Anglikowi, co do siadania potrzebował kilku krzesel, jednego pod osobę własną, drugiego pod nogi, trzeciego pod kapelusze, czwartego pod laskę i t. d. Jak on na krzesłach, tak oni rozkładali się po pokojach, które pomieściłyby mogły wygodnie rodzin piętnaście. W apartamentach niezamieszkałych przez nikogo mieszkali tedy pan Paweł Zdziarnowski i pani Konstancya z Kapalskich Zdziarnowska. Byłóż tam im przestrono!... Gdzie tam! Od chwili jak Tadzio ze szkół powrócił, kłopotali się wielce myślą, jak i gdzieby go ulokować odpowiednio. W pałacu nie wypadało, dla powodów wielu, pomiędzy któremi wymienimy dwa. W pałacu mieszkali państwo, to jedno; powtóre Tadzio, lokując się z rodzicami pod jednym dachem, ulegałyby tém samym zenadzie pewnej, pewnemu krepowaniu, nie harmonizującemu z emancypacją, należną młodzieńcowi po opuszczeniu przezeń ławic szkolnych. Pani była za tém, żeby mieć go na oku; pan sprzeciwił się temu stanowczo, podając za powód wymogi wychowania nowoczesnego, mającego za zadanie rozwój samodzielności charakterów.

— Za ojców naszych — powiadał pan Paweł — bywało inaczej, dziś inaczej... Trzeba iść z postępem, stosując się do tego co jest dziś, nie zaś do tego co dawniej bywało. Niech młody człowiek sam sobie toruje drogę.

Tadzio liczył lat szesnaście i posiadał warunki urabiające człowieka. Pod względami cielesnym i moralnym znajdował się w stanie normalnym; miał pamięć dobrą, pojęcie jak należy, serce niezłe, wzrost szykowny i oblicze jedno z tych, które cechują młodzieńca wyhodowanego w dostatkach, słowem był to chłopiec przystojny i obiecujący — obiecujący...co?...wszystko: rozum, odwagę statek, młodociane szumy i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Pochodzący z tej epoki obrazek Madonny, w którym miłość macierzyńska i dziecięca pogoda z taką niewinnością i czystością zostały odtworzone, przekonywa iż malował to jedynie, co sam czuł, że tradycyjne formy odradzały się pod jego ciepłym technieniem uczucia. Inny mały obrazek odbija nam, jakby utwór lirycznej poezji, wyraz nastroju i myśli młodzieńca. Młody zbrojny rycerz spoczywa wsparty na swój tarczy, pod drzewem laurowym. Przed nim ukazują się dwie kobiece postaci; stojąca po prawej stronie trzyma miecz w jednej, a księgę w drugiej ręce; druga, po lewej stronie, trzyma kwiat i sznur pereł. „Walc i ucz się“ — zdaje się przemawiać jedna, „baw się i używaj“ — wychodzi z ust drugiej. Jest to romantyczne przybranie mytu o Herkulesie na drogach rozstajnych, spowiedź młodego artysty, w którego piersiach brzmi podwójny głos: mądrości i sztuki z jednej, rozkoszy i miłości z drugiej strony. Udało mu się jednak używać życia i miłości i takowe artystycznie ukształtować; w sztuce zaś znalazł najpełniejszą rozkosz życia. Rycerz uspiiony zbudził się i obie kobiety ujęły go pod ręce: moralnie poważna pod prawą, zmysłowo wesółka pod lewą rękę, by kroczyć z nim po drodze życia. Niebrak dowodów na stwierdzenie powyższych słów. Skoro tylko przybył do Rzymu, napisał Rafael do swych przyjaciół w Perugii o przysłanie mu zbioru kazań i pieśni miłosnych Ricciarda; uczucie religijne i światowe popędy zarówno domagały się w nim praw swoich. Na studiach i szkicach Dysputy, owego wspaniałego malowidła, przedstawiającego wojujący i tryumfujący kościół, znajdujemy skreślone Rafaela ręką sonety, tętnące rozkosznie bolesnymi wspomnieniami. Płomienie goreją w jego łonie, lecz musi milczeć o tym pożarze. „Jakże przyjemnym było jarzmo, które białych rączek lancuchem otoczyło mą szyję! Odkąd go brakło, śmiertelna boleść mnie przenika. Ja milczę, choć mnie to do grobu prowadzi—milczę, by wiecznie o tobie tylko myśleć.”

Czas jednak wrócić do szkoły Perugina. Rafael uczynił tu pierwszy krok na polu antyku, więcej jednak co do treści, niż co do formy, tworząc mały obrazek: „Apollo i Marsyasz.“ Pięknym młodzieniec z lirą w rękę stoi naprzeciw wieśniaczowi wyglądającego chłopca, który gra na fujarce. To przeciwieństwo szlachetnej i nieuszlachetnionej natury odtworzone jest bardzo misternie i delikatnie.

Na polu świeckiego historycznego malarstwa również doświadczył swych sił młody artysta w dwóch rysunkach, wykonanych dla starszego kolegi Pinturicchia, który wtedy zajęty był przyozdabianiem sali bibliotecznej katedry w Syenne scenami z życia Eneasza Sylwiusza. Przejście od tradycyjnego kościelnego do świeckiego realnego kierunku, nie było łatwym dla szkoły umbryjskiej; choć więc młodemu geniuszowi godziło się w wyborze przedmiotu kierować własnym natchnieniem, jednakże mógł on posługiwać się jedynie tradycyjnymi formami. Posiłkując się niemi, stworzył Rafael obraz, dla którego takowe największą się nadawały, a mianowicie „Zaślubiny Maryi“ (Sponsalizio). W kompozycji tej, mimo ścisłej od Perugina zawisłości, widzimy już daleko głębsze poczucie charakterów, powabniejsze rysy, więcej żywości w ruchach i swobody w symetrycznym

układzie całości. Obraz ten, najwspanialszy kwiat w rozwoju szkoły umbryjskiej, stanowił niejako pożegnanie młodego artysty ze swym mistrzem i tradycjami szkoły którą opuszczał, udając się do Florencji, w 22 roku życia.

W nowej siedzibie zastał, zamiast cichej ustronności ojczystego zakątka, ruchliwe życie, które w miejsce liryzmu młodocianych lat, epickim natchnęło go nastrojem. Artysta nie mógł uniknąć udziału w walkach stronnictw, a wrażenie reformatorskich kazań Savonaroli żywo jeszcze czuć się dawało we wszystkich umysłach. Umieszczenie tego męczennika w Dyspucie świadczy, jak wielki wpływ wywierał nawet po śmierci na młodą duszę Rafaela. Malowana we Florencji grupa „Gracyj“ stanowi pierwsze świadectwo studyów artysty nad plastyką starożytną; późniejsze zaś prace: „Szkoła ateńska“, „Parnas z Erosem i Psychą“, świadczą, jak silny był wpływ hellenizmu, jego poezji i filozofii na genialnego malarza. We Florencji znalazł on sztukę, która wpatrując się młodzieńczym okiem w życie rzeczywiste, chwytając prawdę przyrodzoną i podnosiła ją, przyoblekając w jej szaty podniosłe charakteru i czyny. Późniejsze utwory Rafaela przedstawiają niejednokrotnie ślady wpływu takiego Masaccia, Ghirlandaja, Signorellego. Spotkał on w nich mistrzów, co zerwawszy ostatnie więzy tradycji, zawładnęli wielkimi środkami artystycznymi i wytworzyli formy odpowiednie dla swobodnej siły własnego ducha.

Michał Anioł i Leonardo da Vinci wystawili wtedy swe kartony bitew. Rafael mógł się teraz przekonać, iż jego pojmowanie natury było jeszcze silnie krępowanym tradycjami szkoły, że do serdeczności i wdzięku, należało mu jeszcze zdobyć siłę i znajomość życia w całej jego pełni. Dokonywał on tego bez gwałtownych przeskoków, zostając zawsze wierny sobie; wzrastał stopniowo w nową atmosferę i nie rozstając się z dziecięcą naiwnością, umiał otrzaskać się z wielu dziecinnych upodobań i osiągnąć prawdy, swobody i pewności w przedstawieniu. Malując tradycyjnym trybem święte rodziny („La belle jardinière“), przenosił on boskość z kościoła w świat ludzki. Madonna „del gran duca“ wpatruje się z niewypowiedzianym szczęściem macierzyńskim w swe dzieciętko; inna przyciska je do serca i całuje w usteczka. Piękność form i wdzięk duchowy tworzą przesłanną równowagę w Madonnie „śróđ zieloności.“ Wpływ Fra Bartolomea widnieje znowu w Madonnie „del baldachino“, otoczonej zastępem świętych. W portretach stara się młody mistrz, podobnie jak Leonardo, odstąpić tajemnice duszy przez wierne odtwarzanie rysów cielesnych. Forster wybornie scharakteryzował portret Rafaela, przez niego samego malowany. „Wizerunek ten przedstawia nam w prostocie dalekiej od wszelkiej pretensji szlachetny i łagodny charakter Rafaela, unaocznia całą głębię myślącego ducha i wrażliwą gorącość jego uczuć, nie zaciągając tego piętna smutku, będącego tak często proroczym znakiem zbyt krótkiego życia.“ Sławne „Złożenie do grobu“, tak bogate w kontrasty, przy cudnej harmonii linii, przekonywa jak szybko rozwinęły się siły Rafaela, jak prędko nauczył się przedstawiać akcyą z jej zewnętrzną siłą cielesną, przy zachowaniu namaszczenia religijnego, właściwego przedmiotowi.

Z wezwaniem Rafaela do Rzymu (1508 r.) zaczyna się epoka jego mistrzostwa. Juliusz II chciał zapomocą papieżstwa założyć we Włoszech silne państwo; budowa kościoła Ś-go Piotra, tudzież upiększanie i przyozdabianie Watykanu, miały stać się wymownym i wiecznotrwałym pomnikiem jego wielkości i potęgi. Rzym podówczas posiadał bardzo wiele przepysznych starożytnych budowli, imponujących malowniczością

nawet swych ruin; w gruzach dawnych pałaców i łazienek znajdowano mnóstwo drogocennych rzeźb i posągów, stanowiących dziś podziw świata całego. W Rzymie również pracował podówczas jako rzeźbiarz Andrea Sansovino, stojący bardzo blisko mistrzów starożytnych. Przy tych wszystkich warunkach, znalazłszy potężnego współzawodnika w Michale Aniele, wyrobił sobie Rafael ten wzniosły styl, tę plastyczną pełnię i jasność, w jakie przyoblekał swe głębokie pomysły i artystyczne uczucie. Gdy papież Leon X powierzył mu później kierownictwo budowy kościoła Ś-go Piotra, wyszło jednocześnie rozporządzenie (1515), oddające artyście nadzór nad wszystkimi wykopaliskami, tak w Rzymie, jak w jego okolicach, ażeby tym sposobem przy dostarczaniu materiału do budowy kościoła nie uległy zatraceniu dzieła sztuki i napisy starożytne. Rafael wziął udział w artystyczno-naukowych poszukiwaniach, zamierzających przez porównanie ruin z opisami starożytnych pisarzy odtworzyć prawdziwą pierwotną postać tych zabytków. Pisał on do Leona X, że boleść i radość zarazem sprawia mu odgrzebywanie pierwotnej świetności pomników z pod rumowiska licznych stuleci. Jeżeli jednak cześć dla rodziców i ojczyzny jest obowiązkiem każdego człowieka, to uważa on za swą powinność poświęcić wszystkie swe siły, ażeby podtrzymać co tylko będzie można z postaci dawnego grodu, który ma prawo nazywać się ogólną ojczyzną wszystkich chrześcijan, a przez tak długi czas cieszył się pełnią potęgi i majestatu, że ludzie zaczęli wierzyć, iż on tylko jeden, wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, wieczną posiadał trwałość. Umiejętne badania i z planem prowadzone poszukiwania dostarczały Rafaelowi materiału, z pomocą którego miał on odtworzyć artystycznie Rzym z epoki pierwszych cesarzy. Osobisty udział przy zdejmowaniu planów i wymiarów w bezładnych, zarażonych wyziewami okolicach, zaszczerpił żarliwemu artyście zaród przedwczesnego zgonu. Tajny sekretarz papieżki Celio Calcagnini powiada: „Rafael prowadzi teraz zadziwiające i niepojęte dla potomności dzieło przywrócenia starożytnemu miastu jego dawnej postaci, wielkości i wymiarów. Przez zdjęcie grubych warstw naniesionego gruzu i śmiecia, przez odgrzebanie najgłębszych fundamentów i odtwarzanie (rysunkowe) pomników podług opisów starożytnych pisarzy, obudził on w papieżu i wszystkich Rzymianach najwyższy podziw, tak iż ludność widzi w nim zesłańca z niebios, mającego ukazać światu wieczne miasto w całym jego starożytnym majestacie.“ Przyjaciel Rafaela, hrabia Castiglione, wyraża się w podobny sposób w swoim epigramacie: „Jakim sposobem, Rafaelu, spoilesz rozdartego, krwawego trupa naszego wiecznego miasta w cudowną całość i tę ogniem, mieczem i zębem czasu zniszczoną Romę zbudzisz do nowego życia i dawnego blasku?“

Rafael, jak i cała epoka odrodzenia, nie patrzył na starożytność naszymi oczami, z tą przedmiotowością świadomą różnicy między dwiema odległymi epokami; dla niego stanowiła ona pierwotny własny życia; czerpał z niej to, co odpowiadało pragnieniom jego duszy, co wiodło do tego harmonijnego złączenia się formy z treścią, ideału z realnością, które w malarstwie doprowadził do podobnej doskonałości, jak starożytni w zakresie plastyki. W ten sposób oddziaływał później Sofokles na Ifigenię Glucka i Goethego, a Odyssea na Hermana i Dorotę. Te utwory jednak nie są naśladownictwami antyków, lecz wykwitem oryginalnej siły duchowej, ogrzanej słońcem hellenizmu. „W zakresie piękna formalnego, powiada Burckhardt, dusza nowożytnego człowieka nie posiada wyższego władcy i opiekuna nad Rafaela.“

Rzymską epokę swój działalności rozpoczął Rafael przyozdabianiem watykańskiej sali, w której podpisywane bywały papieżkie rozporządzenia i zwaną *ztąd della segnatura*. Przedstawił tu on cztery najwyższe kierunki duchowego życia człowieka: teologią, filozofią, poezją i prawo, które uosobione w pojedynczych postaciach na suficie, odzwierciedlają się znowu w obszer-nych kompozycjach, rozmieszczonych na odpowiednich ścianach. Czy przedmiot ten Rafael sam wybrał, czy też miał go sobie wskazany, o tem nie wiemy; widzimy tylko iż go malowniczo rozwinął. Więrszowana kronika jego ojca opowiada, że biblioteka księżca w Urbino ozdobiona była malowidłami, przedstawiającymi teologów i starożytnych filozofów, poetów i prawników. Wspominaliśmy już że Rafael w młodocianych latach przerysowywał te flamandzkie malowidła. Były to jednak pojedyncze figury, tak samo jak w sali posiedzeń kapituły przy kościele Santa Maria Novella we Florencyi. Rafael zaś przedstawił teologią, filozofią i poezją jako duchowy pierwiastek w życiu ludzi unaoczniając bezpośrednio w bogato rozłożonych grupach oglądanie prawdy i religijne podniesienie, powagę badania i nauczania, wreszcie radość opromienionego przez sztukę bytu. Idee te odbijają się w całej pełni w postaciach, których charakter, wyraz oblicza i działalność odpowiada im w zupełności; nie jest to symbolika lub alegorya, lecz uosobijająca, idealna twórczość, jaką spotykamy u Greków, z tą jedynie różnicą, iż tu artysta nie uosabia plastycznie pewnego kierunku duchowego, w pojedynczej postaci jakiejś Minerwy lub Apollina, lecz myśl swą odzwierciedla prawdziwie malarskim sposobem, w grupach oddanych charakterystycznej działalności. Każda pojedyncza postać jest tak obmyślona, iż jej postawa, rysy i wyraz twarzy jasno wypowiadają wewnętrzny stan ducha. Pod tym względem Dante utworzył drogę artystyczną, przedstawiając nietylko w przedsionku piekieł zgromadzonych bohaterów i mędrców starożytnego świata, lecz nawet w niebie, na oddzielnych gwiazdach, grupy nauczycieli prawdy, bojowników Chrystusowych, ożywionych i zespolonych przenikającą ich cnotą i potęgą duchową. Rafael podobnie przedstawił swe postacie nie w istotnym zespoleniu ziemskiego istnienia, lecz w wiecznotrwałym ugrupowaniu Panteonu dziejowego. „Tryumfy“ Petrarki również mogły podsunąć myśl podobną artyście.

Pomiędzy postaciami, na suficie rozmieszczone, najpowabniejszą i najwymowniejszą jest poezya. Dla uwydatnienia lepszego swój myśli, przydał tu artysta po rogach głównego malowidła małe obrazki. Grzech pierworodny pomiędzy teologią a sprawiedliwością, sąd Salomona między sprawiedliwością a mądrością. Ukaranie Marsyasza i Muza wpatrująca się w kulę ziemską, stanowią ogniska między poezją a filozofią; dalej znowu spotykamy Tryumf sztuki, usankcjonowany wyrokiem sędziów.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Kobieta w Indyach, jej przeszłość i przyszłość.

przez Leona Quesnel.

(*Dalszy ciąg.*)

Chociaż żywioł historyczny słabo jest reprezentowany w księgach żydowskich; chociaż osoby które nam przedstawiają są najczęściej symbolicznymi i chociaż kobiety biblijne istniały tylko w wyobraźni poetów, jako uosobienie faktów moralnych i politycznych — charakterystyka te mają właśnie dlatego tem więcej znaczenia, uważane ze stanowiska, które nas tutaj zajmuje. Dowodzą nam one, że kobieta wysoki zajmowała stanowisko w pojęciach ludu hebrajskiego, a niebawem zobaczymy, że toż samo stanowisko zajmowała i u ludu indyjskiego. Pisma talmudyczne są pod tym względem dalszym rozwinięciem Pisma

Świętego i obejmują w sobie skończony ideał miłości dla kobiety.

„Mężczyzna, tracąc pierwszą żonę, traci święty przybytek swojej duszy.“

„Gdy mężczyzna rozwodzi się z żoną, kamienie ołtarza płaczą nad nim.“

„Wszystko w życiu da się zastąpić, oprócz pierwszej żony.“

„Człowiek ucziwy czei swoją żonę; nieuczciwy nią pogardza.“

„Dwoje małżonków dobrze dobranych mają chwałę niebieską za towarzyszkę. Dwoje małżonków źle dobranych otoczeni są ogniem pożerającym.“

„Niema nieszczęść, któreby się z cierpieniami serca porównać dały.“

„Gdy śmierć porwie żonę mężowi, traci on światło swych oczu, a świat już jest dlań samymi ciemnościami.“

„Starzec jest postrachem domu; stara kobieta jest jego radością.“

„Ten kto poślubia kobietę kochaną jest przyjacielem Pana.“

Albo te wyrazy, pełne wdzięku i trafności:

„Jeżeli żona twoja jest małą, *nachyl się, mówiąc do niej*, a nie rób nic bez jej rady.“

Rachela Talmudu jest może jeszcze bardziej zajmująca, niż Rachela biblijna. W każdym razie charakter jej jest dokładniej skróślony. Widzimy w niej kobietę, która z miłością i wiernością małżeńską łączy wysoki szacunek dla spraw rozumu, wielką miłość dla nauki i filozofii. Historia jej nie jest nakręślona prostymi a czystymi liniami postaci biblijnych; obciążona szczegółami, nie ma boskiej piękności starożytnego ideału; ale zato, jako nowożytniejsza, więcej w sobie nauk zawiera.

„Bogaty Kalba Sabua, który żył w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej, miał córkę imieniem Rachele, która kochała pasterza Akibę i która była od niego kochana. Kalba Sabua nie chciał się zgodzić na przyjęcie do swojej rodziny takiego zięcia; ale Rachela, korzystając ze swojej wolności, wyrzekła się bogactw ojca i została małżonką biednego pasterza. Ubóstwo ich było tak wielkie, że musiała uciąć swoje długie włosy i sprzedać je, dla zaspokojenia głodu. Naówczas mąż jej zawołał: „Przy Boskiej pomocy zastąpię te piękne kosy na twojej głowie koroną złotą!“ Z porady Racheli porzucił swoje niskie zajęcie i oddał się naukom. Został uczniem największych mędrców swojego czasu i przez dwanaście lat pracował bez wytchnienia, aż nabył tyle umiejętności, co i jego mistrze. Wówczas powrócił do samotnego domu swojego, gdzie czekała na niego Rachela, z kądzielą w ręce. Zbliżywszy się do progu, usłyszał że człowiek jakiś wyrzucił jego żonę, iż los swój połączyła z losem takiego nędzarza, który nietylko że ją w biędę pograżył, ale jeszcze od lat dwunastu opuścił.“ Gdyby mąż mój dzisiaj powrócił — zawołała Rachela — powiedziałabym mu, aby poszedł jeszcze do mędrców i drugie dwanaście lat poświęcił na nabycie umiejętności i mądrości.“ Akiba, usłyszawszy te słowa, oddał się w milczeniu, posłuszny radzie swojej żony. Po dwunastu tedy drugich latach powrócił znowu, w towarzystwie wielkiego tłumu uczniów. Rachela, wyszedłszy z domu na jego spotkanie, padła przed nim na twarz, obyczajem wschodnim. Uczniowie, widząc ubóstwo jej sukien i biorąc ją za żebraczkę, radzili rabinowi, aby ją odpędził, ale on im odpowiedział: „To jest moja żona, moja żona Rachela! Przyjaciele moi, ja jestem bogaty, gdyż jestem małżonkiem kobiety bogatej w mądrość i dobre uczynki!“ Kalba Sabua z radością przyjął zięcia, który stał się sławnym, i Akiba, tak jak powiedział, uwieńczyć mógł głowę Racheli koroną złotą.“

Nie będziemy tu przywozili mnogich innych legend żydowskich, ukazujących nam kobietę w roli natchnienia i opatrności mężczyzny. Nie będziemy również przytaczali więcej przykładów przywiązania i wierności małżeńskiej, które, jeżeli są prawdziwymi, to świadczą że cnota niewieścia wysoko w narodzie żydowskim sięgała; jeżeli

zaś nieprawdziwymi, to znowu wykazują, jak wysokiem było idealne jej pojęcie. Nawet rzymscy historycy opowiadają czyny znamionujące rycerską odwagę kobiet Izraela, okazujące, że i wtedy jeszcze nie odrodziły się one od Debor i Judyt dawniejszych. Lecz kto by chciał więcej jeszcze dowodów na wysoką dostojność typu kobiecego u Żydów, znalazłby je w oburzeniu proroka Izajasza na rozwolnienie obyczajów. Gdy im wyrzucił zbytek w stroju i pychę, czyż nie czuć w tem że zwraca się do kobiet dotychczas wolnych, iż mogą nadużywać swojej wolności? A jeżeli je gani za lekkomyślność, to widać że lekkomyślność nie była uważaną za właściwą im cechę.

Czytamy wreszcie w Jeremiaszu i widzimy w wielu miejscach Psalmów, że choć kobiety nie sprawowały urzędu kapłańskiego przy ofierze, brały jednak udział w innych kapłańskich funkcjach przy obrzędach, jako-to: w śpiewach, żalach i tańcach. Były one nawet naturalnymi niejako tłumaczkami religijnych uczuć narodu, a prorok, chcąc pobudzić lud do lez i skruchy, woła: „Przywołajcie córki Jeruzolimy. Niech przybiegają i niech płaczą nad nami!“

Jak to powiedzieliśmy na początku, w miarę oddalania się od pierwotnej idei każdego prawodawstwa, psuje ono się coraz bardziej, tak że wkońcu poznać go już niepodobna. Prawo rabinów nie jest już tak przyjaznym kobiecie, jak pierwotne prawo żydowskie. W średnich wiekach kobiety Żydówki skrytymi już tylko drzwiami wchodziły do synagogi, a w nabożeństwie uczestniczyły ukryte w osobnej trybunie. Widzimy następnie, że ofiara nie mogła się odbywać wobec nich samych, i trzeba było na to obecności przynajmniej dziesięciu mężczyzn. Nowy ten przepis wziął początek w jednym z tych zwrotów egzegezy, z których niekiedy dziwne wyprowadzano konsekwencye. Z tego, że Abraham modłąc się za Sodomą, błagał Pana, aby przebaczył miastu, jeżeli się w niem znajdzie „dziesięciu sprawiedliwych“, rabini wniesli, że potrzeba przynajmniej dziesięciu mężczyzn zgromadzonych, ażeby nabożeństwo ekspiacyjne miłe było Bogu. Podobne przepisy ograniczające zaprowadzone zostały niebawem i w kościele chrześcijańskim. Podczas gdy ewangelia pokazuje nam Chrystusa rozmawiającego zwykle z kobietami i objawiającego się wprost Samarytance, święty Paweł nakazuje kobietom milczenie w świątyni, który to przepis, w naturalnym następstwie, zastosowany został z czasem do całego stanu świeckiego. Luter przywrócił mowę kobietom i przyznał im, jak niegdyś Żydzi, zdolność do natchnienia religijnego, dając tem samem hasło do tej swobody, jaka dzisiaj, w stosunkach obupłci, w Ameryce i na całej północy Europy panuje. Zobaczymy że też same fakta zaszły w Indyach i że, poczęte z bardzo podniosłego ideału, pojęcie praw i cnot kobiety zniżało się tam stopniowo, pod wpływem braminizmu, aż do chwili, gdy wielki reformator Szakia-Muni do dawnej przywrócił je świetności; że wreszcie potem znow się zachwiało, od czasu gdy buddaizm musiał ustąpić z większej części zdobytego przez siebie Hindostanu.

II

W czasach wedyckich, szacunek dla kobiety nietylko uważany był za słuszny, ale nakazywany jako obowiązek ważny i święty. Ciężka praca powinna jej być pozostać nieznaną. Zajęciem jej było strzedz ogniska domowego, jako matka i żona, to jest wychowywać dzieci i być podporą mężowi. Mąż obowiązany był otaczać ją miłością. Gdyby się śmiał z jej cierpienia, cierpiałby kiedyś sam, bez pociechy; gdyby nią pogardzał, pogardzałby matką swoją. Gdyby nadużył jej słabości, w celu przesładowania jej albo ogołocenia z majątku, popełniłby zbrodnię, a gdyby ściągnął na siebie jej przekleństwo, ściągnąłby przekleństwo Boga.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)